ROK XVII NR 43 (884) 24 PAŹDZIERNIKA 1974 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ODGŁOSY

REKOMENDACJE

W niedzielę zakończył się udział Łodzi i Ziemi Łódzkiej w warszawskiej Panoramie Trzydziestolecia. Artykuł Konrada Frejdlicha w syntetyczny sposób ujmuje to wydarzenie kulturalne dużej rangi, które twórcom i działaczom kultury pozwoliło z większą satysfakcją spojrzeć na dotychczasowy dorobek miasta i województwa.

W dzisiejszym numerze publikujemy pierwszą część artykułu Bogdy Madej o drużynie piłkarskiej ŁKS. Czynimy to nie tylko dlatego, że łódzcy dziennikarze sportowi dość lapidarnie potraktowali trudną sytuację naszych I-ligowców, ale dlatego, że udział drużyny piłkarskiej w ekstraklasie uważamy za ważny problem społeczny.

W cyklu „Wypowiedzi rektorów" zabierają głos rektorzy Akademii Medycznej i Wojskowej Akademii Medycznej: prof. dr hab. Antoni Kotełko i płk doc. dr hab. Józef Barancewicz.

Korzystając z pobytu w Łodzi Pantomimy Wrocławskiej Anna Omulecka przeprowadziła rozmowę z kierownikiem tego zespołu, wybitnym artystą. Henrykiem Tomaszewskim.

Z zapowiadanych wcześniej publikacji na temat przyszłości Łodzi dziś zabiera głos Jacek Indelak. Jego artykuł „Szturm na Centrum" nawiązuje do ostatnich uchwał Egzekutywy Komitetu Łódzkiego PZPR.

W dziale zagranicznym prezentujemy reportaż Andrzeja Gruna, refleksje z londyńskiej ulicy, pt. „Niezły pomysł, tato".

Znany łódzki pisarz, Tadeusz Papier, udostępnił nam fragment swej najnowszej powieści „John szuka drogi". Kolumnę poetycką przeznaczyliśmy na wiersze debiutantów: Marii Wardzichowskiej i Zbigniewa Dominiaka.

KONRAD FREJDLICH — *PANORAMA 30-LECIA PRL*

ŁÓDŹ — POLSCE — w WARSZAWIE

Czytaj na str. 4

(1) BOGDA MADEJ

PUSTA ŁAWKA

ŁKS zakończył poprzedni sezon piłkarski na 6 pozycji.
Na 30 rozegranych meczów wygrał 8, zremisował — 11, przegrał 10.
Zdobył 29 punktów, stracił 31.
Strzelił 24 bramki, stracił 28.

Tak wyglądała sytuacja piłkarskiej jedenastki Łódzkiego Klubu Sportowego na początku sierpnia 1974 roku, kiedy to zakończył się sezon ekstraklasy piłkarskiej 1973–74.

Minęła połowa jesiennej rundy bieżącego sezonu — 1974–1975 — i ŁKS zajmuje 16, ostatnie miejsce, mając na koncie stosunek punktów 7 : 14 i stosunek bramek — 4 : 12.

Dalszy ciąg na str. 6 i 7

SZTUKA, KTÓRA NIE DOPOWIADA WSZYSTKIEGO

Z HENRYKIEM TOMASZEWSKIM rozmawia ANNA OMULECKA

Henryk Tomaszewski — baletmistrz, aktor mimiczny, choreograf, reżyser, inscenizator, założyciel i dyrektor Wrocławskiego Teatru Pantomimy, w której pełni wiele funkcji.

— Domyślam się, że jest to narzucone koniecznością.

— Tak, tak to jest w teatrze pantomimy. Jest to teatr bez własnego materiału, bez literatury i dziś, jeżeli ktoś bierze się do pantomimy, nie może sięgnąć do gablotki i wyciągnąć jakiejś sztuki, czy jakiejś partytury baletu i powiedzieć — to wystawimy. Nie ma nic. Pracuje się w dziedzinie, którą trzeba na nowo odkrywać. Stąd myślę, że ktoś, kto chce robić pantomimę, musi sam wymyślić treść, zrobić sam scenariusz, potem dobrać ludzi, wyszkolić ich na pantomimistów, którzy byliby w pełni zdolni wykonać wizję scenarzysty, a potem być reżyserem, a potem jeszcze inscenizatorem. Na pewno jest to jednym z powodów, że jest tak mało teatrów pantomimy na świecie, że trzeba tak dużo rzeczy łączyć. Nie wyobrażam sobie, że mogłbym zamówić scenariusz pantomimiczny u jakiegoś literata. Jest to tak specyficzna sztuka, że scenariusz nawet z najpiękniejszą ideą, mógłby się nie sprawdzić na scenie. Jest to przecież teatr nieliteracki, jest to teatr obrazów w działaniu, działaniu się. Przekaz myśli, różnorodnych spraw, pewnej filozofii odbywa się w inny sposób, powiedziałbym trochę naiwny i bardzo prosty. Widz z mimem musi się indentyfikować, ma zauważyć, że w życiu robi to samo, to zresztą odróżnia mima od tancerza, że ten pierwszy przedstawia pewne czynności z życia, tancerz zaś może się odgraniczyć i wykonać pewne pas, które może być czystą formą przy muzyce lub bez. U nas nie ma ruchu dla ruchu, formy dla formy. Wszystko musi być ciągiem czynności. Stąd tak trudno literacko zaplanować i zapisać. W swoich poszukiwaniach materiału pantomimicznego spotkałem zaledwie kilka mimodramów pantomimicznych, napisanych przez literatów. Drugą sprawą jest brak szkół, które by kształciły mimów.

— Oprócz tego, że jest pan autorem wszystkich scenariuszy do swoich pantomim, choreografem, reżyserem, jest pan przecież pedagogiem, nauczycielem szkolącym nie tylko umiejętności i sprawności techniczne mimów, ale także uczy pan gry aktorskiej, kształci pan i bogaci osobowość aktora.

— Jeżeli chcę zrealizować swój zamysł w pantomimie, muszę mieć ludzi, których sam muszę wykształcić. Odbywa się to w ramach zamkniętego studia przy teatrze. Przychodzą do nas ludzie po skończonej szkole baletowej bądź też ludzie o szczególnych predyspozycjach, tzn. mają absolutną sprawność ciała, fantazję, wyobraźnię, bardzo silny zmysł naśladowczy i muszą stale nad sobą pracować. Czteroletni okres nauki i pracy pozwala na wykształcenie aktora-mima. Pantomima to sztuka, która wymaga nie tylko sprawności i umiejętności, fizycznej świadomości naszej możliwości antomicznej w ruchu, ale jest to także umiejętność nałożenia na to pewnych zadań aktorskich. Ruchem i mimiką musimy wyrazić wzruszenie, a nawet psychiczne przemiany i być przy tym szczerym, nie wpadać nigdy w manierę, po to, by widz mógł się z nami identyfikować, powiedzieć: tak, ja to też tak robię, czuję, aczkolwiek ty

Dalszy ciąg na str. 3

W dniach 9 i 10 października r. bież. odbył się w Katowicach i Zabrzu zjazd przedstawicieli stowarzyszeń regionalnych i kulturalno-społecznych.

Pierwszego dnia miało miejsce otwarcie Ogólnopolskiej Wystawy „Stowarzyszenia regionalne w XXX-leciu PRL", po południu tegoż dnia w grupach do wyboru: zwiedzanie Katowic, obejrzenie projekcji filmów i przeźroczy nadesłanych przez towarzystwa regionalne lub zwiedzanie Sali Muzealnej Katowickiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, wieczorem — występ Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej w teatrze im. St. Wyspiańskiego.

Nazajutrz — sympozjum z 3 referatami: o roli stowarzyszeń regionalnych w dużych skupiskach miejskich, w ośrodkach małych i nt. ich udziału w wychowaniu młodzieży. Po dyskusji gościnni gospodarze Tow. Miłośników Zabrza zorganizowali zwiedzanie kopalni „Zabrze".

Wystawa dokonała przeglądu bogatego dorobku pracy stowarzyszeń, a więc działalności edytorskiej: czasopisma (miesięczniki, roczniki, kalendarze), monografie miast, przewodniki, druki bibliofilskie, foldery, albumy itd., afisze będące dokumentami organizowanych festiwali, koncertów, imprez regionalnych, teatralnych, wystaw, eksponaty rozwijanej twórczości amatorskiej w dziedzinie malarstwa, rzeźby, tkactwa artystycznego, metaloplastyki, ceramiki jak również fotografii i filmu.

Jest tych stowarzyszeń w Polsce około 500, skupiają około 250 tysięcy członków.

Różnorodności treści ich pracy odpowiada różnorodność organizacyjna. Od poważnych towarzystw naukowych po małe zespoły muzyczne, taneczne czy wokalne, od stowarzyszeń działających na terenie miasteczka lub gminy po obejmujące swym zasięgiem województwo lub nawet cały kraj, od bardzo wąskospecjalistycznych, (np. tow. miłośników dawnej broni i barwy) po ogólnokulturalne, działające w wielu kierunkach itd.

ZJAZD TOWARZYSTW REGIONALNYCH

Najbujniej ten ogromnie zróżnicowany ruch społeczny zaczął się rozwijać w Polsce Ludowej. Tylko w ostatnim 10-leciu powstało tych stowarzyszeń w kraju około setki.

Oczywiście różną funkcję pełnią takie stowarzyszenia w wielkich miastach, inną w małych skupiskach, inną na Ziemiach Zachodnich i Północnych, a inną w Polsce centralnej, inną w starych centrach kulturalnych jak Kraków, a inną np. w Krapkowicach.

Partia i rząd doceniają znaczenie ruchu społecznego dla aktywizacji społeczeństwa wokół spraw najbliższego terenu, w stwarzaniu klimatu serdecznego zainteresowania przeszłością, dniem dzisiejszym i jutrem własnego miasta, własnego regionu, w pogłębianiu międzypokoleniowych więzi.

Ministerstwo Kultury i Sztuki interesuje się działalnością stowarzyszeń, pragnie poprzez ową Radę d/s Stowarzyszeń Regionalnych w jakimś stopniu określać ich politykę kulturalną, kierować ich działalnością. Myśli się o sfederowaniu tych różnorodnych instytucji.

Sprawa bardzo delikatna. Organizacje te bowiem wysoko sobie cenią swój społeczny charakter i swoje specyficzne kierunki działania. Niemniej sami działacze coraz głośniej mówią o potrzebie współdziałania towarzystw działających w danym terenie.

Zarówno w Łodzi jak i na Ziemi Łódzkiej istnieje wiele społecznych organizacji regionalnych i kulturalnych. Gromadzi się w nich spory zastęp ludzi ofiarnych, rozmiłowanych w swoim regionie, przenikniętych pasją najczystszego społecznego działania.

Czy nie powinniśmy zastanowić się nad możliwościami współdziałania tych rozlicznych stowarzyszeń, a zwłaszcza pomiędzy działającymi w Łodzi i na Ziemi Łódzkiej?

Sprawy to niebłahe.

Prężne, liczące się stowarzyszenia regionalne i kulturalno-społeczne mogą przecież mieć duże znaczenie w kształtowaniu właściwego klimatu społecznego i społecznej inicjatywy wynikającej z umiłowania swoich stron rodzinnych i z przeświadczenia, że się jest istotnym współtwórcą ich przyszłości.

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

PANORAMA PUBLIKACJI

Udział Łodzi i województwa łódzkiego w „Panoramie Trzydziestolecia dobiegł końca. Dawno Łódź nie miała tak dobrej prasy, dawno nie zajmowano się tak wnikliwie sprawami kultury regionu.

PROBLEMY

...życia kulturalnego regionu zainteresowały **„TYGODNIK KULTURALNY"**, który zamieścił wśród kilku publikacji na ten temat obszerny wywiad redakcyjny z wojewodą łódzkim — **Romanem Malinowskim.**

„Dużą wagę — powiedział „Tygodnikowi Kulturalnemu" Roman Malinowski — **przywiązujemy do rozwoju kultury. We wrześniu odbyło się posiedzenie wojewódzkiej instancji partyjnej, na którym dokonano oceny oraz przyjęto program rozwoju kultury do 1990 roku. Warto tu zwłaszcza podkreślić rozwój sztuki ludowej, stały rozwój domów kultury, muzeów, bibliotek, specjalnym pietyzmem otacza się zabytki kultury i sztuki. W br. w około 30 proc. gmin będą już funkcjonowały gminne ośrodki kultury".**

Odpowiadając na pytania redakcji wojewoda łódzki — **Roman Malinowski** przedstawił Czytelnikom **„Tygodnika Kulturalnego"**, osiągnięcia województwa łódzkiego w 30-leciu PRL, rolę i miejsce regionu w systemie społeczno-gospodarczym kraju.

Na łamach **„Tygodnika Kulturalnego"** o **„Prognozach łódzkiej kultury"** wypowiedziała się prof. dr **Antonina Kłoskowska.**

„Znaczenie Łodzi jako ośrodka zawodowej twórczości kulturalnej — pisze prof. A. Kłoskowska — **było dotąd niewspółmierne do jej pozycji drugiego w kraju ośrodka miejskiego. Wiadomo, że same rozmiary miasta nie wyznaczają automatycznie jego rangi w tej dziedzinie. Trzeba też założyć, że w perspektywie 1990 r. niektóre mniejsze miasta, np. Kraków, będą wyprzedzały Łódź w skali kulturotwórczych pozycji. Można jednak oczekiwać wzmożenia kulturotwórczego znaczenia Łodzi. Podstawę przewidywania stanowią istniejące obecnie ośrodki oraz program ich rozwoju".**

W swoim artykule **„Prognozy łódzkiej kultury" Antonina Kłoskowska** szczegółowo analizuje strukturę kulturalną Łodzi, tendencje występujące w odbiorze twórczości środowisk kulturalnych i działalności instytucji upowszechniania kultury i w oparciu o te stwierdzenia rysuje kierunki rozwoju kulturalnego miasta.

W tym samym numerze **„Tygodnika Kulturalnego"** (nr 41) **Wojciech Jankowerny** omawia osiągnięcia i niedostatki Wydawnictwa Łódzkiego.

TEATR

...łódzki nadal interesuje recenzentów. **Jaszcz** w **„Trybunie Ludu"** zachwyca się **„Kubusiem Fatalistą".**

„Drwiąca, sceptyczna, mocno osadzona w realiach swego czasu — pisze on — **a zarazem śmiała w krytyce społecznej powieść Diderota napisana została, mimo partii dialogowych, niezwykle daleko od założeń sztuki dramatycznej. Trudności przy próbie przeniesienia jej wątków na scenę zdawać by się więc mogły nie do pokonania.**

Reżyser Witold Zatorski porwał się na nie zuchwale i — wygrał w stylu brawurowym, budując z opowieści Diderota przedstawienie zwarte, pełne pomysłów w dobrym smaku...".

Również w **„Expressie Wieczornym" Andrzej Hausbrandt** pisząc pochlebnie o realizatorach „Kubusia Fatalisty" stwierdza na koniec:

„Mały, lecz niezwykle sprawny zespół realizatorów przedstawienia należy pochwalić nie tylko za wyrównany poziom, ale w pierwszym rzędzie za znakomite wręcz opanowanie zadań ruchowych. Bajeczna kondycja, choć przecież nie tylko dwudziestolatki grają, fikają kozły, błaznują, skaczą, biją się i latają jak opętani".

M. Misiorny w **„Trybunie Ludu"** natomiast zwraca uwagę na **„Paradoksy „Mutter Courage".**

„Paradoks „Matki Courage" Bertolda Brechta — pisze on przypominając jednocześnie dwie wielkie kreacje Heleny Weigel i Ireny Eichlerówny — **polega na tym, iż aktorka zawsze zwyciężała w tej roli — przeciwko autorowi".**

I dalej, powołując się na kreację Jadwigi Andrzejewskiej w spektaklu Teatru Powszechnego: **„Teraz znów możemy powołać się na świetną rolę Jadwigi Andrzejewskiej. Jej Courage jest oczywiście drobnomieszczanką, pozbawioną społecznego sumienia, żyje z wojny i dla wojny, nie zna innych motywacji, prócz egoistycznych — a przecież, gdy walą się na nią nieszczęścia, widzimy wyraźnie, jak nikła jest jej siła jako modelu historycznego, a jak wielkie jej cierpienie".**

„ŻYCIE WARSZAWY" zaprezentowało swoim Czytelnikom dorobek Państwowego Teatru Lalek „Pinokio", przypominając, że przez blisko 30 lat pracy Teatr „Pinokio" wystawił 111 premier, a w tym 37 prapremier, a wszystkie jego sztuki obejrzało przeszło 4 miliony widzów.

„Pinokio" zawiózł do Warszawy dwa przedstawienia: „O czym mówią pory roku", J. Galewicza według Oskara Kolberga i „Wyspę białego łabędzia" M. Kossakowskiej i J. Galewicza według Aleksandra Puszkina.

„Oba przedstawienia — pisze (mik) w „Życiu Warszawy" — **były przykładem ciekawych poszukiwań inscenizatorskich i reżyserskich, solidnej i wszechstronnej pracy aktorów — lalkarzy".**

FILHARMONIA

...łódzka gościła na estradzie warszawskiej z koncertem bardzo przychylnie przyjętym. Z tej to okazji **Zdzisław Sierpiński** pisał w **„Życiu Warszawy":**

„Indywidualność. To słowo natychmiast nasuwa się mi na myśl, kiedy mowa o Henryku Czyżu. I znaczy to więcej niż talent, znakomity warsztat profesjonalny, kultura muzyczna — te wszystkie cechy, które charakteryzują dobrego dyrygenta. Kiedy się słucha koncertów Czyża — a obserwuję to od początków bez mała jego kariery — zawsze urzeka mnie ten szczególny nastrój, jaki potrafi wytworzyć robioną przez siebie muzyką: zaskoczyć oryginalnym doborem repertuaru (...) ileż to razy Czyż sięga po dzieła niesłusznie omijane przez estrady i odkrywa przed nami ich wyjątkowe piękno".

PLASTYKA

...ciągle jeszcze interesuje, recenzentów. **„Trybuna Ludu"** w artykule podpisanym **(NER)** a zatytułowanym **„Trzydzieści lat i lata trzydzieste"** przypomina wystawę w Muzeum Narodowym: „Tendencje w sztuce łódzkiej".

„Życie Warszawy" piórem **Wojciecha Krauze** omawia wystawę Wacława Kondka i Andrzeja Szonerta.

„Wacław Kondek — pisze W. Krauze — **jest postacią niezwykle barwną i w Łodzi bardzo popularną. Zajmuje się grafiką, malarstwem, rzeźbą, ceramiką i scenografią, ma w swym dorobku także utwory literackie i filmowe".**

Przypominając nagrodzonego „Ondraszka" — film animowany — i album „Łódzkie pałace" W. Krauze pisze dalej:

„Zamiłowanie do penetracji przeszłości łączy się u tego artysty także z wrażliwością na nurt kultury i sztuki plebejskiej. Kondka interesują i podniecają jego wyobraźnię klechdy ludowe, z których czerpie pomysły do tworzenia na poły fantastycznych obrazów. Autor jest pod urokiem duchów, diabłów i nietoperzy, które w klimat najbardziej prawdopodobnych opowieści, legend i podań wprowadzają element baśniowej tajemniczości i niespodziewanego zagrożenia".

Zupełnie inna jest wystwa Andrzeja Szonerta.

„Szonert — pisze W. Krauze — **poza uprawianiem plastyki zajmuje się także krytyką artystyczną, i może dlatego przy oglądaniu jego prac nasuwa się skojarzenie — plastyka publicystyczna".**

Wojciech Krauze zwraca uwagę widza na mylność tytułów obrazów, sygnalizują one bowiem **„rozległy zakres tematów często obecnie dyskutowanych", a Andrzej Szonert „włącza się do tej rozmowy inteligentnie i z pasją".**

„Ale przy tym Szonert — pisze W. Krauze — **imponuje sprawnością rysunku i wyczuciem w gromadzeniu niezbędnej ilości detali potrzebnych do zobrazowania tematu".**

I konkluzja:

„Wystawy te świadczą jednocześnie o możliwości współistnienia różnych kierunków i tendencji plastycznych dla dobra sztuki współczesnej. Łodzianie dowiedli tego także innymi wystawami zorganizowanymi w Warszawie".

TRADYCJE

...robotniczej Łodzi przypomniał **„Express Wieczorny"** na marginesie zorganizowanej w Muzeum Lenina wystawie pt. „Z tradycji ruchu rewolucyjnego Łodzi i Ziemi Łódzkiej".

Opr. M. R.

oko na gospodarkę

LOGICZNIE MYŚLĄC

Trafiła do moich rąk informacja zamieszczona w jednym z krajowych dzienników. Wynikało z niej, że przy tym samym parku maszynowym wydajność pracy w którymś z naszych zakładów jest średnio biorąc, od 30 do 50 proc. niższa od tej, jaką uzyskują Włosi w bardzo podobnej pod względem wyposażenia technicznego fabryce.

Takie porównanie, rzucone mimochodem, musi zastanowić każdego, komu leży na sercu sprawność działania naszej gospodarki nie tylko od święta i przy okazji kolejnego zrywu, ale właśnie na co dzień. Bo przecież by nasz trend rozwojowy kształtował się prawidłowo, by środki wkładane każdego roku w nowe maszyny i urządzenia, słowem inwestycje, stwarzały nie tylko wrażenie nowoczesności, ale były nią w istocie, również poprzez efektywność ekonomiczną, poprzez ilość dóbr materialnych opuszczających hale wytwórcze.

Od razu też nasuwa się pytanie, na które koniecznie trzeba dać odpowiedź: skąd bierze się ten dystans, już nie tylko do Włochów, ale również do sąsiadów z południa czy z zachodu, którzy w wielu dziedzinach także legitymują się lepszymi porównawczo osiągnięciami w dziedzinie efektywizacji pracy, sprawności produkcyjnego działania. Przy czym od razu chciałbym tutaj dodać, że nie zamierzam podważać czy rozkładać na czynniki pierwsze problemu różnic w jakości pracy, jako że Polacy udowodnili na wielu budowach również tam, gdzie liczy się najwyższa sprawność — swoje duże umiejętności, wysoką produktywność i dyscyplinę. Doskonałym świadectwem są dla nas place budowlane, które nasze ekipy z „Budimexu" prowadziły choćby w Niemieckiej Republice Federalnej, Czechosłowacji, a także na pozaeuropejskich kontynentach — w Afryce i Azji.

Gdzie więc leży przysłowiowy pies?

Niestety, sprawa wydaje się być bardzo złożona. Chodzi chyba nie tylko o nowoczesny model organizacji produkcji pracy czy zarządzania, ale także o właściwy system i umiejętne wykorzystanie zasobów ludzkich, ich kwalifikacji, jakimi ci ludzie dysponują. Z tym, niestety, jeszcze nie jest najlepiej i nie pomoże tutaj żadna maszyna, najlepiej wyposażony w przyrządy człowiek, jeśli nie będziemy umieli stworzyć takiego „mechanizmu", który niejako automatycznie stawiałby na właściwe wykorzystanie kwalifikacji, umiejętności. Zaliczyłbym bowiem do mitów czy wręcz do wiary w magię takie stwierdzenia, w myśl których utrzymuje się, że jeśli tylko dodamy naszym załogom odpowiednią ilość nowoczesnych maszyn, to wszystko pójdzie jak z płatka i od razu będziemy żyli w krainie obfitości.

Słowem — chcemy dziś tutaj podnieść problem kadr, ich właściwego wykorzystania z pożytkiem dla ogólnospołecznych efektów.

Sporo się na ten temat ostatnio mówi i pisze, przeprowadzono nawet bardzo wszechstronne badania w różnych grupach zawodowych, ale ja chciałbym się tylko ograniczyć do ukazania pewnych zjawisk, jakie mają miejsce w przypadku tej grupy zawodowej, która wypisuje w swoich ankietach personalnych słowo e k o n o m i s t a.

Otóż z badań tych niedwuznacznych wynika, że jesteśmy już bardzo zasobni pod względem ilościowym, jeśli chodzi o kadrę ekonomiczną, legitymującą się wyższym wykształceniem. I to jest pocieszające. Ale przecież nie o samą liczbę tutaj chodzi, bo jeśli popatrzy się tak trochę „podskórkowo" na liczby zgromadzone przy okazji tych badań, to łatwo można dojść do wniosku jeszcze innego, a sprowadzającego się do stwierdzenia już znacznie mniej radosnego: wzrosła wprawdzie liczba ekonomistów z wyższym wykształceniem, ale równocześnie ich „rozdział" jest nieproporcjonalny, bowiem najliczniej są przez nich obsadzone stanowiska... najniższe.

W wypowiedziach wielu osób, które były objęte badaniami akietowanymi można nawet znaleźć elementy goryczy. I trudno się dziwić, jeśli ze zgromadzonego materiału wynika, że ponad połowa badanych, bo 57,5 proc. stwierdza, że po trzech latach pracy w ogóle nie awansowała. Inne dane też są niezwykle ciekawe: 70 proc. młodych ekonomistów pracuje zgodnie z wyuczonym zawodem, 42,5 proc. osób z wyższym wykształceniem uważa, że wykonywane przez nich czynności wymagają koniecznie studiów wyższych, 18,7 proc. stwierdza, że w trakcie swojej pracy miało w sprawach gospodarczych, odnoszących się do zatrudniających ich przedsiębiorstw głos doradczy, lub w pewnej mierze decydujący, wreszcie 13,7 proc. podkreśla, iż w swojej pracy odniosło zawodowy sukces.

Chciałbym się zatrzymać na jednej z podanych tutaj liczb. Wprawdzie 70 proc. przebadanych osób z wykształceniem ekonomicznym powiedziało, iż pracuje zgodnie z wyuczonym zawodem, to jednak w ślad za tym rodzi się pytanie, co się stało z tymi 30 proc., z tymi ludźmi, którzy przez kilka lat nie tylko przecież wycierali ławy uniwersyteckich auli, ale zdobywali tam określoną wiedzę subsydiowaną przez państwo, jakimś tam ułamkiem naszego wspólnego dochodu narodowego. Ta właśnie część również powinna owocować pod postacią efektywizowania procesów zarządzania i kierowania, a jak można przypuszczać, tak właśnie nie jest i niewątpliwie w ten sposób tracimy jakąś cząstkę produktu społecznego, która powinna się znaleźć w skarbnicy krajowej ekonomii. Trzeba też zauważyć, bo to niebagatelna sprawa, że 70 proc. osób z wyższym wykształceniem ekonomicznym jest zdania, że w trakcie swojej pracy zawodowej nie miało istotnego wpływu na zapadające w przedsiębiorstwach decyzje, co w pewnym sensie implikuje, że są to osoby nieco rozczarowane zarówno swoim statusem zawodowym, jak i stopniem wykorzystania ich umiejętności.

Żyjemy w czasie, gdy technika zmienia się już nie z roku na rok, ale fakty ze sfery techniki i technologii produkcji, metod zarządzania i kierowania gospodarką, jak również innymi procesami społecznymi ulegają przemianom dosłownie z godziny na godzinę. Ktoś powiedział — i chyba miał rację — że w porównaniu do najbardziej rozwiniętych krajów dzieli nas nie tyle wielka luka techniczna, co właśnie organizacyjna. Stąd już blisko jesteśmy konkluzji, która nasuwa się chyba automatycznie: potrzebny jest naszej gospodarce potężny zastrzyk ludzi łączących umiejętności ekonomiczne z wiedzą organizatorów, zarządców maszyn i procesów produkcji. Ludzi mądrych, łączących wiedzę techniczną i ekonomiczną z humanitarnym spojrzeniem na cel pracy i to, co wszyscy robimy.

Niestety, wydaje się, że pod tym względem mamy jeszcze sporo do zrobienia. Jeszcze zbyt mało dbamy o to, by środki włożone w kształcenie młodych ludzi możliwie szybko procentowały. A przecież jest to właściwie bardzo podobny proces, z jakim chyba mamy do czynienia w przypadku dążenia do maksymalnego przyspieszenia oddania w ruch nowych fabryk czy poszczególnych maszyn. Również, a może nade wszystko nawet, w ludziach tkwią potężne zasoby energii i możliwości. Potrzebny jest tylko katalizator do ich wyzwolenia i spożytkowania.

I to jest chyba logiczne. Taki jest fakt, iż nie można przejść do porządku dziennego nad tym, że któraś z włoskich fabryk bije naszą pod względem wydajności produkcji tak, jak byśmy to my nie umieli pracować.

KRZYSZTOF POGORZELEC

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMANSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

NAUKA POSTĘP DOBROBYT

W dynamicznym rozwoju społeczno-ekonomicznym Polski szczególnie szybkim na przestrzeni ostatnich czterech lat, ogromną rolę odgrywa nauka. W Łodzi mamy siedem wyższych uczelni. Społeczeństwo łódzkie coraz bardziej docenia ich znaczenie w rozwiązywaniu złożonych problemów gospodarczych i socjalnych w kraju, w tym również w naszym regionie. Nasze wyższe uczelnie są dziś chlubą Łodzi.

Dając wyraz zainteresowaniu tą ważną problematyką zwróciliśmy się do rektorów wyższych uczelni łódzkich z prośbą o wypowiedzi na temat dalszych perspektyw rozwojowych uczelni, zamierzeń dydaktycznych i naukowo-badawczych w bieżącym roku akademickim oraz trudności, które hamują realizację programów rozwoju.

Dziś publikujemy wypowiedź rektora Akademii Medycznej w Łodzi prof. dr hab. ANTONIEGO KOTEŁKO.

Fot: Włodzimierz Parys

Akademia Medyczna w Łodzi weszła w 30 rok swego istnienia licząc w tym 5 lat w ramach Uniwersytetu. Stworzona została na bazie istniejących w Łodzi szpitali oraz zaadaptowanych pomieszczeń dla zakładów teoretycznych.

W tych trudnych warunkach spełniła swoje zadanie kształcąc tysiące specjalistów z dziedziny medycyny, stomatologii i farmacji, tworząc podstawy poważnej pracy naukowej, współuczestnicząc bezpośrednio w zapewnieniu opieki zdrowotnej mieszkańcom miasta i województwa. Tempo rozwoju nauki, w tym również nauk medycznych oraz wymogów życia społeczeństwa nie pozwala na samozadowolenie i zmusza do stałego i rosnącego działania na rzecz unowocześnienia procesu dydaktycznego, intensyfikacji pracy naukowej oraz nadążanie za lawinowym postępem medycyny praktycznej.

Po trzydziestu latach pracy w warunkach pewnej improwizacji nadszedł już czas na stworzenie w Łodzi silnego materialnie i kadrowo ośrodka nauk medycznych. Otwierające się w tym zakresie perspektywy stojące przed uczelnią mogą napawać optymizmem.

Przed kilku laty Wydział Farmaceutyczny dostał nowoczesny gmach odpowiadający standardowi europejskiemu. W bieżącym roku rozpoczynamy budowę biblioteki, a w przyszłym przystępujemy do największego zamierzenia — budowy Centrum Klinicznego Akademii Medycznej, która to inwestycja całkowicie zaspokoi potrzeby Wydziału Lekarskiego i Oddziału Stomatologii. W dziesięcioletniej więc perspektywie widzimy w Łodzi nowoczesny kompleks Akademii Medycznej pozwalający na jakościowy skok we wszystkich dziedzinach: dydaktycznej, naukowej i usługowej.

Kształcenie i wychowanie studentów w naszej uczelni, jak wiadomo, ma za zadanie przygotowanie przyszłych fachowych pracowników społecznej służby zdrowia. Wykonanie tego podstawowego celu wytycza dla naszej uczelni zadania, które od lat realizujemy i w coraz większym stopniu usprawniamy.

W myśl reformy studiów medycznych, nasz program dydaktyczno-wychowawczy precyzuje swoje przedsięwzięcia w tej dziedzinie jako:

— ciągłe udoskonalanie programów studiów z poszczególnych przedmiotów zarówno od strony treści, jak i formy po to, aby angażować studenta do aktywnego uczestniczenia w zajęciach dydaktycznych dla uzyskania dobrego przygotowania do pracy zawodowej.

— komasowanie zajęć dydaktycznych w celu wygospodarowania wolnego czasu na działalność w kołach naukowych i na rozwijanie indywidualnych zainteresowań medycznych studenta.

— wprowadzenie dla najbardziej uzdolnionych studentów z Wydz. Lek. Oddziału Stomatologii i Wydz. Farm. specjalnego toku studiów przygotowującego ich do przyszłej pracy naukowej w uczelni.

— coraz pełniejsze rozwijanie form opieki nad studentami pierwszych lat studiów.

— działanie w zakresie wychowania fizycznego, sportu i turystyki

— aktywniejsze niż dotychczas nauczanie języków obcych.

— rozwijanie różnorakich form działalności w dziedzinie ideowej i kulturalnej poprzez aktywną pracę członków w organizacji partyjnej i w SZSP.

Zamierzenie naukowe na przyszły rok to dalsza koncentracja tematyki badań. Będziemy chcieli w ciągu tego roku podjąć próbę podsumowania tzw. głównych tematów uczelnianych i w zależności od oceny wynikającej z tego podsumowania dokonać odpowiednich korekt. Przygotowujemy się do podejmowania prac naukowych w nowym systemie wchodzącym w życie w naszym kraju. System ten zmusi poszczególne jednostki uczelni do podejmowania tematów ważnych dla społeczeństwa i nauki, kontrolowanych zarówno w zakresie wyników, jak i środków materialnych.

Różnorodność zadań stojących przed naszą uczelnią, a więc: dydaktyka przed- i podyplomowa, działalność naukowa, usługowa, konsultacyjna, stwarza konieczność współdziałania z instytucjami. Trzeba stwierdzić, że współpraca ta z miejską i wojewódzką służbą zdrowia układa się na ogół pomyślnie.

Niemniej istnieje cały szereg trudności natury najczęściej obiektywnej. Do nich należy np. nie najlepszy stan techniczny obiektów klinicznych, kłopoty z przeprowadzaniem remontów. Trudności kadrowe sprowadzają się do pewnego zastoju w przepływie kadry specjalistycznej, co utrudnia z kolei możliwość przyjmowania do pracy w uczelni ludzi młodych. Brak hotelu dla młodych pracowników Akademii, duże kłopoty z obsadą pielęgniarską uzupełniają ten obraz.

Dlatego też będziemy musieli myśleć zarówno o szkole pielęgniarskiej, jak i o nowych domach studenckich i młodego lekarza. Wszystkie wymienione trudności wynikają przede wszystkim z dynamicznego rozwoju uczelni. Zwielokrotniła się liczba studentów, personelu naukowego, wzrosła działalność lecznicza i naukowa. Perspektywy o których była mowa na początku pozwalają nam w tym roku spojrzeć w przyszłość z wiekszym niż kiedykolwiek optymizmem.

ANTONI KOTEŁKO

Mówi rektor Wojskowej Akademii Medycznej płk doc. dr hab. n. med. JÓZEF BARANCEWICZ

Wojskowa Akademia Medyczna znajduje się obecnie w stadium częściowej reorganizacji swej struktury. Zbliżający się nowy rok akademicki będzie rokiem przełomowym dla naszej uczelni. W celu usprawnienia procesu naukowo-dydaktycznego oraz zwiększenia integracji różnorodnych form działalności uczelni przechodzimy na strukturę instytutową — powstaje 8 nowych instytutów i kilka zakładów naukowych. Spodziewamy się, iż zmiany te przyspieszą i uintensywnią rozwój uczelni zarówno w zakresie badań naukowych, jak i kształcenia studentów. Ze względu na specyficzny charakter uczelni — jest ona bowiem nie tylko placówką naukowo-dydaktyczną, ale również leczniczą — w swojej działalności duże znaczenie przywiązujemy do prowadzenia badań naukowych o bezpośredniej użyteczności, których rezultaty wykorzystujemy w pracy klinicznej. W naszych planach zatem równie ważne miejsce zajmuje, obok badań naukowych, dydaktyki i wychowania, troska o znalezienie najlepszych sposobów wykorzystania potencjału naukowego uczelni w praktyce klinicznej. Z tym aspektem działalności naszej uczelni wiąże się również konieczność stosowania odpowiednich metod nauczania w celu wykształcenia jak największej liczby lekarzy dobrze przygotowanych do praktycznego wykonywania zawodu, często w jakże specyficznych, trudnych warunkach.

Jeśli idzie o działalność naukową, to planujemy dalsze uintensywnianie i koncentrację badań poprzez podejmowanie przez interdyscyplinarne zespoły problemowe badań kompleksowych. Uczestniczymy i nadal będziemy uczestniczyć w realizowaniu programów badawczych Polskiej Akademii Nauk oraz Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Rozwijać będziemy również nadal współpracę z innymi placówkami naukowymi w zakresie wspólnego podejmowania i rozwiązywania problemów naukowych, m. in. takich jak: ochrona środowiska, masowe urazy, zdolności adaptacyjne ustroju ludzkiego do fizycznych, chemicznych i biologicznych czynników środowiska, kardiologia i kardiochirurgia i in.

W celu usprawnienia systemu zarządzania i nauczania przewidujemy daleko posuniętą automatyzację tych systemów poprzez wprowadzenie sieci komputerów i powołanie nowego zakładu informatyki.

Mając na celu jak najlepsze przygotowanie naszych studentów do przyszłej pracy, wiele uwagi poświęcamy doskonaleniu i unowocześnianiu form i metod kształcenia. W tej dziedzinie planujemy zakończenie opracowywania nowego programu studiów, polegającego na zwiększeniu liczby ćwiczeń i seminariów kosztem godzin wykładowych oraz na dalszej integracji tematycznej nauczania, przejawiającej się w logicznym powiązaniu treści nauczania z zakresu poszczególnych przedmiotów zarówno w ramach jednego roku, jak i różnych lat studiów. Idzie nam o to, aby zwiększyć samodzielność studiów, rozwinąć twórcze myślenie, wpoić studentom umiejętność podejmowania i opracowywania problemów naukowych, wykształcić zdolność samodzielnego rozwiązywania trudnych sytuacji klinicznych, z którymi będą przecież musieli w przyszłości radzić sobie sami, już bez pomocy profesora czy asystenta. Aby osiągnąć te cele, musimy przede wszystkim być przekonani o tym, że student orientuje się w całokształcie programu nauczania, zna jego założenia i główne cele dydaktyczne, wie jaki zakres materiału powinien opanować z każdej dyscypliny medycznej, czemu służy nauka przedmiotów pomocniczych, jakie powiązania istnieją miedzy poszczególnymi dziedzinami wiedzy medycznej. Jednym słowem, winien on świadomie uczestniczyć w procesie nauczania wiedząc, czego się od niego oczekuje i co on sam pragnie osiągnąć w trakcie studiów w naszej uczelni. Jedną z najprostszych form ułatwiających mu owo świadome, mądre studiowanie jest przewodnik dydaktyczny, który zapoznaje słuchaczy z programem, celami i metodami nauczania, z wymaganiami stawianymi w zakresie poszczególnych dyscyplin. Planujemy coroczne, systematyczne wydawanie takiego przewodnika, będącego dobrym sposobem wstępnego wprowadzenia studenta w całokształt realizowanego przez nas procesu dydaktycznego.

Niezwykle ważne dla realizacji omawianych powyżej celów jest wprowadzanie systemu studiów indywidualnych, którym obejmujemy obecnie najbardziej uzdolnionych i wyróżniających się w nauce studentów, a którego udoskonalaniem i rozszerzaniem na coraz większą liczbę słuchaczy zamierzamy zajmować się nadal. Rozwijaniu samodzielności pracy studentów sprzyja również działalność studenckich kół naukowych, które włączać się będą do prowadzonych przez instytuty prac nad problemami badawczymi.

Zarówno na nas — nauczycielach akademickich, jak i tych wszystkich, którzy z racji swych funkcji współpracują z uczącą się u nas młodzieżą, ciąży odpowiedzialność za ukształtowanie postaw etycznych naszych wychowanków, za to, jakimi ludźmi będą, jaki będzie ich stosunek do innych, a zwłaszcza do człowieka chorego i cierpiącego. Zdajemy sobie z tego sprawę, iż od naszego wobec nich postępowania wiele zależy, toteż szczególnie starannie opracowujemy zakres zadań wychowawczych oraz sposoby oddziaływania na studentów na poszczególnych etapach nauczania. Ze szczególną uwagą wcielać będziemy w życie ten nowy system wychowania, bacznie obserwując jego skuteczność w praktyce.

Z drugiej strony natomiast musimy zwiększyć wymagania wobec samych siebie. Dokonana analiza kwalifikacji dydaktycznych, naukowych i zawodowych kadry stała się podstawą nowego planu rozwoju jakościowego kadry, zakładającego zwiększenie dynamiki wzrostu kwalifikacji zarówno naukowych, jak dydaktycznych i pedagogicznych. Wprowadziliśmy i rozwijać będziemy bardzo ważny w naszej pracy wielostopniowy system dokształcania pedagogicznego.

Jak już wspomniałem, w bieżącym roku akademickim rozpoczniemy pracę już w oparciu o nową strukturę organizacyjną uczelni. Wiąże się z tym wiele problemów, jak zawsze, gdy zachodzi konieczność wypracowania nowych form działania. Zakładamy utworzenie 3—4 dużych, nowoczesnych ośrodków naukowo-badawczych, zdolnych do podejmowania badań kompleksowych i długofalowych. Spodziewamy się, że ten rok przyniesie udoskonalenie i unowocześnienie metod pracy, rozpoczęcie realizacji nowych programów badawczych i wychowywawczych, a także pierwsze rezultaty zmian, pozwalające ocenić większą funkcjonalność nowego systemu organizacyjnego w sprawniejszej działalności uczelni.

Pewnym utrudnieniem w przeprowadzeniu zamierzeń, o których mówiłem powyżej, jest duże rozproszenie naszych placówek oraz o wiele za mała „powierzchnia dydaktyczna" przypadająca na jednego studenta. Wiele klinik znajduje się na bazie szpitali miejskich i z winy pewnych niedociągnięć administracyjnych posiada niewystarczającą dla nowych potrzeb bazę lokalową i wyposażeniową. Sprawą ta jednak ma być w najbliższym czasie uregulowana. Planujemy również przeniesienie się z obiektów przy ulicy Źródłowej — rejonu zakwaterowania naszych studentów — w pobliże kompleksu katedr teoretycznych na plac 9 Maja, dzięki czemu częściowo zlikwidujemy uciążliwe dojazdy studentów na zajęcia. Z przeniesieniem tym wiąże się wiele nowych inwestycji, między innymi budowa hali sportowej i basenu kąpielowego, który zapewni studentom lepsze warunki rozwoju fizycznego i rekreacji.

JÓZEF BARANCEWICZ

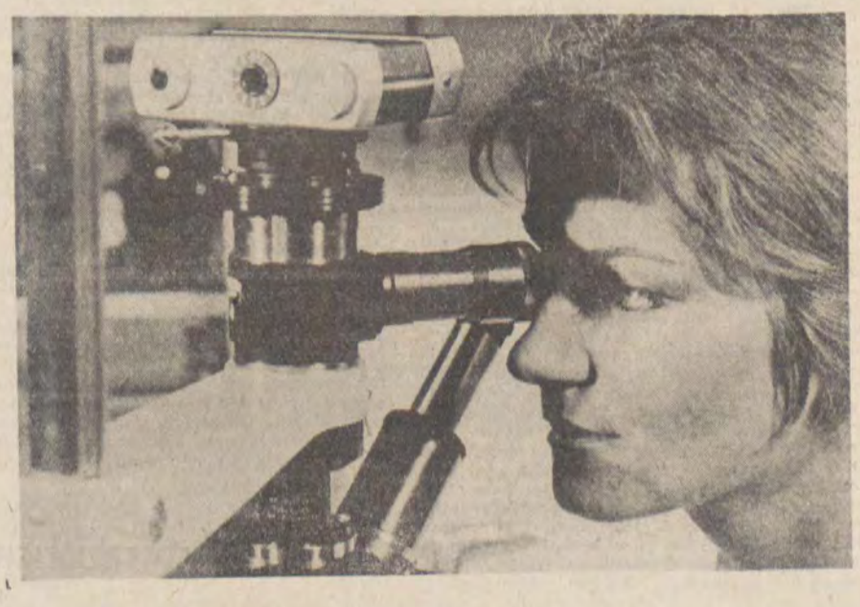

Z HENRYKIEM TOMASZEWSKIM rozmawia ANNA OMULECKA

Dalszy ciąg ze str. 1

mi to pokazujesz wszystko wyolbrzymione, w powiększonej fazie ruchu, ale to tak wygląda.

— Dzisiaj we współczesnym teatrze daje się zauważyć pewne tendencje do improwizacji, pisane na scenie. W pana pantomimie tego nie ma.

— To jest nawet niemożliwe, chociaż okres improwizacji właściwie jest, ale w fazie pierwszych prób, w poszukiwaniach i propozycjach wychodzących od aktora. Omawiamy wtedy sceny i postacie, ideę tej sceny — i wtedy aktor może próbować pewne sytuacje, aż do momentu, kiedy pewne sceny, formy ruchowe zostaną zakodowane po wyborze najcenniejszych dla nas środków. Wtedy nie może być już żadnych zmian, gdyż jest to gra całego zespołu i musi wszystko być tak, jak w muzyce, współbrzmieć.

— Pantomima jest sztuką, która działa na nas całych, tzn. tak samo na intelekt, jak i fizycznie na nasze ciało. Wydaje się, że właśnie ruch ciała, wyraz twarzy jest komunikatem spośród innych znaków najwymowniejszym, Czy uważa pan, że teatr pantomimy dlatego właśnie może więcej wyrazić niż teatr dramatyczny?

— Nigdy nie uważałem, że pantomima ma wykazać jakieś braki czy niedobory słowa. Uważam, że teatr słowa, jakim jest teatr dramatyczny, jest sam dla siebie, a pantomima to inny kierunek teatru, który może wyrazić te same treści, a bardzo często i inne. Robi to po prostu inaczej, dochodzi do człowieka nie przez atak intelektu, ale przez bodźce, pewne wzruszenie, nawet oszołomienie, gdyż oko nasze jest zawsze wrażliwsze. Wydaje mi się, że dlatego teatr pantomimy istnieje rzadko, pojawia się nieraz i znowu ginie, że istnieją jakieś okresy, zapotrzebowanie na pewne gatunki sztuki. W dzisiejszym zracjonalizowanym świecie istnieje właśnie potrzeba sztuki, która nie dopowiada wszystkiego. Przez film, a zwłaszcza przez telewizję, dostajemy wszystko gotowe, mamy to tylko skonsumować. A sztuka, jaką jest pantomima, obywa się bez słowa, tego najprostszego sposobu porozumiewania się, pobudza wyobraźnię. Słyszę najprzeróżniejsze opinie o naszych pantomimach. Jest to tak, jak z tym ptakiem ze sztuki Szaniawskiego — każdy go widzi, ale każdy inaczej. Po to idziemy do teatru, ażeby ten ptak ukazał się nam takim, jakim go chcemy widzieć. Ja coś takiego widzę u ludzi — potrzebę fantazji, zadumy, wyobraźni.

— Po spektaklach pantomimicznych można zaobserwować, że ludzie prowadzą bardzo ożywioną wymianę myśli i wrażeń. Ale głębsze refleksje przychodzą jeszcze później, tak jak pan powiedział: „silne wzruszenia wzrokowe dręczą nas długo, zmuszają do późniejszych rozmyślań". Czy tak pan widzi zadania pantomimy?

— Tak to widzę. To jest zadaniem i funkcją naszego teatru, bo pokazywać techniki, np. ciągnięcie liny czy odbijanie niewidzialnej piłki, to dla nas mało...

Fot: Joanna Drankowska

— Pan jednak odchodzi czasem od swojego teatru i daje się uwieść teatrowi dramatycznemu, reżyserował pan przecież w teatrze wrocławskim, w teatrze dolnośląskim, w teatrach Norwegii, Danii, Holandii, Szwecji. Czy to zdrada pantomimy?

— Nie, to nie zdrada. To są propozycje dyrektorów teatrów, którzy mnie widzą u siebie w teatrze, a ja mam pewne sztuki, które, przyznam się leżą

Dalszy ciąg na str. 4

Z HENRYKIEM TOMASZEWSKIM

rozmawia

ANNA OMULECKA

Dalszy ciąg ze str. 3

mi jakoś na sercu. W pierwszych realizacjach czułem się nie tak pewnie, ale dziś mam już pewne doświadczenie, które ugruntowało może przeświadczenie, że aktor dramatyczny też czuje ruch. Jeżeli ma tylko okazję przekonać się, że jego ciało, a nie tylko jego głos, jest instrumentem do kreowania roli i postaci, to mnoży to jego możliwości aktorskie. Jeżeli mówi ze sceny nienaturalnym, w pewnej konwencji, głosem, to dlaczego nie wykonuje czynności w ten sam sposób. Powinna być przecież ta sama konwencja i dla ruchu i dla słów.

– Najważniejszą sprawą w pańskiej sztuce jest więc ruch, ten ruch, który jest nieodłączny człowiekowi, pan wierzy wymowie ciała. Oczywiście, wyrażać tylko przez ciało i jego ruch całą złożoność ludzką jest rzeczą trudną. Czy aktorzy w ostatnim przedstawieniu pantomimy grając nagością, mają wyrazić więcej i lepiej niż przez kostjum?

– Ciało jest naszym instrumentem i w naszym teatrze, dla nas, jest materiałem, nad którym stale pracujemy. Jeżeli ubieramy się w kostium, to jest on nieraz elementem tłumaczącym scenę. Jednak ciało jest zawsze materią, dlatego też staramy się je jak najmniej zakrywać, by widać je było jak najlepiej. Jeżeli zaś chodzi o nagość zupełną, zastosowaną zresztą po raz pierwszy w tej pantomimie, uważam, że ciało ludzkie ma swój człowieczy wymiar. Oczywiście można zrobić z tego i kabaret i komercyjną konsumpcję, tu zaś nagość związana jest z treścią pantomimy. Są pewne sceny, które wymagają nagości, mają zadanie nawet wzburzyć widza. Nagość jest tu kostiumem, maską, jest uzasadnioną potrzebą.

– Człowiek jest zawsze w centrum pana zainteresowań przy tworzeniu scenariuszą. On jest pierwszym tematem, kostium, rekwizyt czy też muzyka – to sprawa drugorzędna.

– Naturalnie, tak jak film można porównać do malarstwa, to pantomimę można przyrównać do rzeźby. My jesteśmy plastyczni, działamy w pewnej przestrzeni. Ta rzeźbiarskość ciała jest tu bardzo istotna.

– Ostatnie przedstawienie pt. „Przyjeżdżam jutro" obnaża nie tylko ludzkie ciało, ale i także, a może przede wszystkim jego wnętrze, homo sapiens w ostatnich dwóch pantomimach jest ukazany w krzywym zwierciadle, menażeria ludzka coraz bardziej szalona, nieobliczalna.

– Nie chciałbym tłumaczyć treści i założeń pantomimy, uważam, że obrazy mówią same za siebie, każdy ma własną interpretację. Ale chcemy pokazać człowieka w jego wszyskich sprawach prostych, zwykłych, na które nakładają się później sprawy, wychodzące z ukrycia, z podświadomości, które nagle otwierają i poruszają człowieka, ukazując go w jego marzeniach, w tęsknotach, snach, nawet w drzemiącym okrucieństwie. Tak, jest to trochę smutna pantomima, ale jest i miejsce na uśmiech czy śmiech. Zmiana nastrojów jest zasadą pantomimy.

Przecież pantomima wyrosła z romantycznego Pierrota, który był takim smutno-śmiesznym pajacykiem, to on tak właśnie walczył, tak działał, tak chciał zdobyć najpiękniejszą damę. Ale nic mu się nie udawało. Człowiek w całej swojej powadze wzięcia na siebie najważniejszych spraw ma chwile wzniosłe i małe, jest wielki i śmieszny zarazem. A Chaplin – największy mim XX wieku – który stale musiał walczyć z przeciwnościami świata, śmieszył nas, a przecież był tragiczny, taki, jaki był Pierrot. I to jest linia pantomimy.

– Przypatrując się poczynaniom Wrocławskiego Teatru Pantomimy, trzeba przyznać, że nie miał on złych okresów, kryzysów, załamań czy braku tematu.

– No, uważam, że tematów nie może zabraknąć, bo jeżeli człowiek jest cały w życiu i widzi, co dookoła się dzieje i żyje we współczesnym świecie, to jakże może zabraknąć tematu? Temat zawsze się znajdzie, on jest, potrzebna jest tylko czasami jakaś anegdota. Moim zadaniem i obowiązkiem jest znaleźć najwłaściwszy temat, trochę jest tu przydatne jakieś wyczucie, założyć z góry wszystkiego nie można, muszę się też zdać i na intuicję.

– A jaki temat ma pan w przygotowaniu, czy może pan nam to zdradzić?

– Następnym tematem będzie pantomimiczna wersja o Panu Twardowskim, będzie to rzecz o potrzebie magii.

– Krytycy i recenzenci zarzucają panu odejście od dawnego Tomaszewskiego, mówią, że dawniej było np. więcej metafory, symboliki, zadumy filozoficznej.

– Mnie nigdy nie interesowało kontynuowanie już raz znalezionego odcinka pracy. Mnie interesuje szukanie na nowo i dalej próbuję, co jeszcze można. Nie potrafię iść po linii uznanych przez krytykę osiągnięć. Sztuka musi się ciągle odradzać. Pewnie, że korzystam z poprzednich doświadczeń, których się dorobiłem. W każdym temacie tkwią inne możliwości, inne środki, formy przekazu, na tym polega tworzenie, stawanie się.

– Który to raz przyjeżdża pan ze swoim programem do Łodzi?

– Tyle razy, ile było premier, tzn. trzynaście. Przyjeżdżamy z każdym spektaklem, a łódzka publiczność stwarza nam doskonałą atmosferę. Bardzo lubimy tu przyjeżdżać.

– A my zawsze z niecierpliwością czekamy na nowe spektakle i pana propozycje. Przyjazd Wrocławskiego Teatru Pantomimy staje się wydarzeniem sezonu. Teatr ten w swojej formie pantomimy niepowtarzalnej w świecie, swoją kalejdoskopową rozmaitością treści i tkwiących w niej wartości, budzi w nas tak wiele różnorodnych doznań.

ŁÓDŹ – POLSCE w WARSZAWIE

Skrzyżowanie Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi, najbardziej ruchliwy punkt Warszawy. Nie opodal, na gigantycznej ścianie z płótna, bo waham się płaszczyznę tych rozmiarów nazwać transparentem, stołeczny przechodzień spotyka graficzny symbol Panoramy 30-lecia PRL i krótki napis: Łódź i Ziemia Łódzka. Ten sam znaczek powtarza się na setkach barwnych plakatów, które rozwieszono w najodleglejszych rejonach Warszawy.

Czym jest ten ogólnopolski festiwal zapoczątkowany przez region lubelski i kontynuowany przez kolejne województwa: Białystok, Bydgoszcz, Gdańsk? Czy jest to tylko retrospektywny przegląd osiągnięć naukowych, artystycznych, gospodarczych poszczególnych metropolii? Czy może próba scalenia tego, co z perspektywy trzydziestolecia wydaje nam się warte uprzytomnienia i utrwalenia? A może konfrontacja dynamiki i aktywności, twórczego myślenia i wysiłku, które składają się na obraz naszych dni? Czymkolwiek jest ta Panorama jedno jest pewne: że przyjęła się w Warszawie.

Lublin, Białystok, Bydgoszcz. A teraz, w dżdżystym raczej październiku Łódź i Ziemia Łódzka. Bezlitosne deszcze uszkodziły ekspozycję fotogramów w pasażu domów handlowych „Centrum", jedno z tych przedsięwzięć, które warszawskiego przechodnia uczulić miało na sprawy Polskiego Manchesteru i najbliższego mu regionu. Ale ta wystawa, autorstwa utalentowanego fotoreportera „Dziennika Łódzkiego" ANDRZEJA WACHA, nawet w okaleczonej formie dobrze spełnia swe zadanie. Chociaż nie obracają się walce otoczone fotogramami, chociaż z rzadka tylko rozbłyskują reflektory wzmagające ekspresję ekspozycji, chociaż na dobre umilkły megafony ze słowami komentarza.

Łódzką Panoramę komentuje samorzutnie warszawska ulica i są to komentarze pochlebne. Codzienną porcję pogłębionych refleksji na ten sam temat przynosi stołeczna prasa. Jej opinie także nie przynoszą nam ujmy.

Dziesięcioosobowy sztab Łódzkiej Panoramy od miesiąca okupuje hotel „Metropol". Właściwe biuro znalazło gościnę na placu Dzierżyńskiego w białym budynku Urzędu Stołecznego m. Warszawy. W niewielkim pokoiku zawalonym folderami, przewodnikami, plakatami co chwila dzwoni telefon. Dzwonią dziennikarze, stowarzyszenia artystyczne, zainteresowane instytucje. JAN KRASZEWSKI, dyrektor Panoramy Łódzkiej jest w tych dniach najbardziej zapracowanym człowiekiem w Warszawie, ani chwili wolnego czasu. Dwoi się i troi także redaktor JERZY KATARASIŃSKI, rzecznik prasowy. Ruchliwość sztabu pozwala nam choć częściowo zorientować się w rozmiarach przedsięwzięcia, na które składa się wysiłek dziesiątków organizacji, instytucji i stowarzyszeń: od Stowarzyszenia Muzyki Estradowej po Stadninę Koni w Bogusławicach.

Łódzką Panoramę cechuje pomysłowość i rozmach, ale nie gigantyzm, jest zaprzeczeniem skompromitowanego hasła: Zastaw się, a postaw się. W odróżnieniu od innych regionów, które chciały pokazać dosłownie wszystko, Łódź zrezygnowała na przykład z wystawy gospodarczej wychodząc z założenia, że co jak co, ale przemysłowy charakter miasta dobrze jest znany warszawiakom. Staraliśmy się raczej wyeksponować to, co dla przeciętnego Polaka nie jest takie oczywiste, a co od dawna domagało się prawidłowej lokalizacji: miejsce łódzkiej kultury, sztuki i nauki na mapie kraju, ich ogromny trzydziestoletni dorobek.

Już inaugurująca Panoramę wystawa w Muzeum Narodowym zatytułowana „TENDENCJE W ŁÓDZKIM MALARSTWIE I GRAFICE" wywołała zaskoczenie i zachwyt warszawskiej publiczności. Ostrożna w pochwałach „Trybuna Ludu" nie wahała się stwierdzić: **„niezwykle interesująca ekspozycja". To prawda: ekspozycja zaprezentowana** w Warszawie może zaspokoić najsurowsze wymagania. W części retrospektywnej ukazuje ona poprzez twórczość artystów tej miary co WŁADYSŁAW STRZEMIŃSKI, KATARZYNA KOBRO, HENRYK STAŻEWSKI, KAROL HILLER związek łódzkiej plastyki z europejskimi prądami awangardowymi. W części współczesnej wystawa ukazuje kontynuację tych zainteresowań przez łódzkie środowisko plastyczne i rozwój nowych tendencji składających się na pojęcie „ŁÓDZKA SZKOŁA REALISTÓW", reprezentowana przez takie nazwiska jak JERZEGO KRAWCZYKA, BENONA LIBERSKIEGO czy WIESŁAWA GARBOLIŃSKIEGO, które wymieniam tu tylko przykładowo. Nie zabrakło wreszcie na tej wystawie pokazów eksperymentalnych i aranżacji plastycznych orientujących widza w ambicjach i poszukiwaniach współczesnej sztuki łódzkiej. **„Co szczególnie cieszyć może w tym środowisku, to wyraźnie widzialna, zwarta grupa młodych twórców o wysokim poziomie artystycznym twórczości i bardzo dobrze opanowanym warsztacie"** — podsumowuje „Trybuna Ludu", a nie jest to opinia odosobniona jak o tym świadczą głosy innych gazet.

Kolejnym zaskoczeniem dla warszawskiej publiczności była wystawa „POLSKIE GOBELINY WSPÓŁCZESNE". Zaskoczeniem podwójnym, gdyż urządzono ją w salach budującego się jeszcze Zamku Królewskiego i tło ekspozycji stanowią surowe mury komnat. Mało kto wiedział do tej pory w Warszawie o jedynym w kraju łódzkim Muzeum Historii Włókiennictwa toteż gobeliny z I i II Biennale Tkaniny w Lozannie stały się prawdziwą rewelacją i obejrzały je tysiące ludzi. Spotykamy tam prace tak dobrze znanych w Łodzi artystów jak DANUTA SIENKIEWICZ, JANINA TWOREK-PIERZGALSKA czy TERESA GAWRYSIAK, a przecież to tylko cząstka tej ekspozycji i jeszcze mniejsza cząstka tego czym łódzkie środowisko plastyczne dysponuje w dziedzinie tkactwa. O wrażeniu jakie wywołała wystawa najlepiej świadczą entuzjastyczne wpisy w księdze pamiątkowej. Pozwolę sobie zacytować jeden, autorstwa pracowników Ministerstwa Kultury NRD, który tak będzie brzmiał w polskim przekładzie: „Serdeczne życzenia pomyślności z okazji interesującego wyboru łódzkich gobelinów i w związku ze wspaniałą ideą wystawienia ich w odbudowującym się dopiero Zamku".

Plastycy stanowią najliczniejszą grupę łódzkich twórców, nic też dziwnego, że zdominowali pozostałe środowiska, które także miały do zaprezentowania w Warszawie wartościowe osiągnięcia. WIESŁAW ŚNIADECKI, znany scenograf filmowy, przedstawił w Klubie MPiK przy ul. Wolskiej cykl rysunków i akwareli związanych tematycznie z naszym miastem, w galerii Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych „Pałacyk" eksponowane są prace malarskie ANDRZEJA SZONERTA i grafika WACŁAWA KONDKA, w Teatrze Narodowym pokazywane są prace łódzkich plastyków, uczestników Pleneru Olimpijskiego. Temat: „SPORT W SZTUCE". Wreszcie na MDM zasłużoną popularnością cieszy się wystawa prac studentów PWSSP w Łodzi. Jej tytuł „OD POMYSŁU DO REALIZACJI" dobrze orientuje w idei przedsięwzięcia, które unaocznia znaczenie plastyka-projektanta we współczesnym życiu. Pewien niepokój widzów wzbudziła anonimowość zaprezentowanych prac, ale przeważały głosy pochwalne. Pewien warszawiak wpisał się do księgi pamiątkowej wierszem, którego fragment wart jest zacytowania:

„Zwiedziłem wystawę
i me serce płonie z radości
choć przyznać wstyd
nawet z zazdrości,
ponieważ nasza kochana Warszawa
dała się Łodzi w sztuce wyprzedzić".

Nie jest ta strofa może szczytem kunsztu poetyckiego, ale myśl wykłada jasno. Inny wpis stwierdza: „Życzę, aby wystawy odbywały się częściej niż raz na trzydzieści lat".

Ma to życzenie także swoją głębszą wymowę, świadczy o tym, że łódzkie dokonania artystyczne są niedostatecznie znane w Polsce, gdy się uwzględni ich rangę i znaczenie we współczesnej sztuce. Panorama jest festiwalem, który ma właśnie tę rażącą lukę wypełnić, zbliżyć do siebie regiony i ich twórczy dorobek, zaspokoić naturalną tęsknotę poznania tego, co dzieje się za miedzą, tak blisko a tak jednocześnie daleko.

Skoro jesteśmy przy wystawiennictwie warto zwrócić uwagę na ważną ekspozycję w Muzeum Lenina zatytułowaną „Z DZIEJÓW RUCHU ROBOTNICZEGO ZIEMI ŁÓDZKIEJ". Czasopisma, fotografie, odezwy, listy, sztandary nawiązują do początków Łodzi przemysłowej i ukazują proces kształtowania się klasy robotniczej w naszym mieście, tradycje walki proletariatu, jego martyrologię. Właśnie ta ciekawie pomyślana wystawa stanowi jakby komentarz, z którego można odczytać dlaczego oblicze sztuki łódzkiej jest takie właśnie a nie inne, dlaczego tak silnie zaznacza się w niej motyw pracy, dlaczego tak silnie przepojona jest ona szeroko pojętą problematyką społeczną.

Nurt sztuki nieprofesjonalnej reprezentowany jest przez działalność „Cepelii", która ma duże zasługi w popieraniu folkloru. Rękodzieła artystyczne, tkaniny ludowe, rzeźby, ceramika, to tylko znikoma cząstka tej wciąż żywej sztuki, która powstaje na Ziemi Łódzkiej wzbogacając jej tradycje folklorystyczne. A przecież trzeba przypomnieć renesans ludowych kapeli, których nie zabrakło także w Warszawie. Organizatorzy Łódzkiej Panoramy wyszli bowiem z założenia, że człowiekowi są potrzebne nie tylko wzruszenia duchowe i że przez żołądek równie skutecznie trafić można do serc warszawiaków. Toteż znana restauracja „Arkady" zamieniona została na „Karczmę Łowicką". Wystarczyła zmiana wystroju wnętrza, wystarczyły doborowe kapele z Rzeczycy i Nowego Miasta, aby mieszczuch znalazł się w swojskiej ludowości. Kelnerki ubrane w stroje łowickie serwowały w takt dziarskiej muzyki regionalne specjały: bigos hultajski i zupę ułańską, kotlety trybunalskie i kluski łowickie, ciupkę z grochem i zraz po kasztelańsku. Ale główny nurt Panoramy toczył się poza tymi sympatycznymi przydatkami.

Na przykład środowisko literackie, trzecie pod względem liczebności w kraju. Trudno było o inicjatywy tak spektakularne jak ekspozycje plastyki, ale duże zainteresowanie wzbudziła wystawa książek ilustrująca łódzkie dokonania w dziedzinie literatury (szkoda tylko, że funkcjonowała ona tak krótko). Trud organizacyjny wzięła na siebie zasłużona Biblioteka im. Waryńskiego. Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki zorganizowało uroczą wystawę akcydensów i ekslibrisów prezentując bogaty dorobek kolekcjonerski. Warszawiacy mieli wreszcie okazję poznać łódzkich pisarzy na licznych spotkaniach autorskich, które dopełniły obraz współczesnej Łodzi literackiej. Ciekawym pomysłem był wieczór zatytułowany „ADAPTACJE FILMOWE WSPÓŁCZESNYCH POWIEŚCI", który szczęśliwie połączył poszukiwania filmu i literatury sygnalizując jednocześnie, że Łódź jest nie tylko miejscem produkcji, ale także ośrodkiem twórczej myśli filmowej. Swój dorobek, poprzez wybrane pozycje, prezentowane na specjalnych pokazach i na seansach otwartych przedstawiła Wytwórnia Filmów Oświatowych i Studio Małych Form Filmowych „Semafor", a trzeba stwierdzić, że Łódź jest w skali krajowej potentatem w dziedzinie krótkiego metrażu.

Przed trudnym zadaniem stanęły łódzkie teatry. Może najmniej powodów do niepokoju miał Teatr Wielki, cieszący się zasłużonym uznaniem w całym kraju i mający opinię jednej z najlepszych polskich scen operowych. „HENRYK VI NA ŁOWACH", spektakl wyreżyserowany przez Kazimierza Dejmka, sprawdził się wielokrotnie na scenie podobnie jak „WIECZÓR BALETÓW POLSKICH", ale teatry dramatyczne musiały skrzyżować szpadę ze znakomitymi teatrami warszawskimi.

Szczęśliwie wypadła też konfrontacja z warszawską publicznością dla Teatru Ziemi Łódzkiej, który zaprezentował adaptację powieści „POPIÓŁ I DIAMENT" Jerzego Andrzejewskiego i „LINII" Jerzego Wawrzaka, obie w reżyserii JANA PERZA. Oba spektakle mówią o sprawach związanych z naszą rzeczywistością i już choćby dlatego trzeba nazwać je adaptacjami literatury współczesnej, a przecież reżyser nadał im także nowoczesną formę realizacyjną. Szczególnie ciekawą prezentacją był spektakl „Popiołu i diamentu", który przedstawiony został w środowisku robotniczym Zakładów im. Róży Luksemburg, podczas gdy „Linię" obejrzała publiczność odwiedzająca zazwyczaj Teatr Ziemi Mazowieckiej. Nie zabrakło w tym przeglądzie łódzkich dokonań scenicznych także zasłużonego Teatru Lalek „Pinokio", który przedstawił dwie pozycje ze swego repertuaru: „O CZYM MÓWIĄ PORY ROKU" Janusza Gawlewicza i „WYSPĘ BIAŁEGO ŁABĘDZIA" wg. Puszkina.

Z bogatymi propozycjami w „Panoramie" wystąpiło łódzkie środowisko muzyczne reprezentowane przez Filharmonię Łódzką, Wyższą Szkołę Muzyczną, Średnie Szkoły Muzyczne oraz zespoły Bel Canto i Pro Musica.

W sali Filharmonii Narodowej filharmonicy z Łodzi wykonali trzy koncerty: kameralny, oratoryjny i symfoniczny. W ich programach, obok pozycji światowej klasyki, znalazły się utwory współczesnych kompozytorów polskich, co dobrze świadczy o poszukiwaniach repertuarowych kierowanej przez HENRYKA CZYŻA Filharmonii Łódzkiej. Z równie ambitnym programem wystąpili studenci PWSM i orkiestra symfoniczna uczelni pod dyrekcją ZDZISŁAWA SZOSTAKA. Godnie zaprezentowały się także średnie szkoły muzyczne w montażu słowno-muzycznym „MOJA OJCZYZNA".

Nie sposób zresztą wymienić wszystkich propozycji muzycznych świadczących o dużej aktywności tego środowiska twórczego. Warszawiacy mieli przecież okazję wysłuchać kilku koncertów estradowych w wykonaniu takich renomowanych zespołów jak „BRACTWO KURKOWE", „PRO CONTRA" i „EN FACE", „DWA PLUS JEDEN" i „CAMER TON". Wszystkie te zespoły zrzeszone są w działającym w Łodzi Stowarzyszeniu Muzyki Estradowej, którym kieruje ANDRZEJ JÓŹWIAK znany z temperamentu organizacyjnego i rzutkości.

A muzyczna twórczość profesjonalna to znów tylko część dorobku Łodzi i Ziemi Łódzkiej w tej dziedzinie. Równie żywo rozwija się ruch amatorski, czego dowodem spektakl „W ŚRODKU POLSKI" przygotowany pod egidą Estrady Łódzkiej w reżyserii MIECZYSŁAWA STEFAŃSKIEGO. Kolejnym spektaklem o wyraźnie łódzkim charakterze, bo bazuje na miejskim folklorze, był program pt. „KRAJOBRAZ Z DYMÓW UTKANY". Folklor ludu wiejskiego zaprezentowany został poprzez widowisko plenerowe o charakterze obrzędowym pod nazwą „WESELE ŁOWICKIE".

Aby wyczerpać problemy repertuaru dodajmy, że w Warszawie zaprezentowano także twórczość studencką. Teatr 77 wystąpił z głośną „PASJĄ" w realizacji RYSZARDA BIGOSIŃSKIEGO, ANDRZEJA BIBELA i JERZEGO MONIAKA, zaś studenci PWSFTviT przedstawili w reżyserii WALDEMARA WILHELMA „KSIĘŻNICZKĘ TURANDOT" wg Carlo Goldoniego. Było to dwudzieste czwarte już z kolei przedstawienie dyplomowe, co świadczy o poważnych tradycjach młodej przecież szkoły. Jej studenci pokazali także na specjalnym przeglądzie zrealizowane przez siebie etiudy filmowe.

Na zakończenie dodajmy, że rzemiosło regionu łódzkiego zorganizowało cieszącą się dużą frekwencją wystawę swych wyrobów połączoną ze sprzedażą.

Jak widać program Łodzi i Ziemi Łódzkiej w Panoramie Trzydziestolecia był niezwykle bogaty i zróżnicowany. Obiektywni obserwatorzy z Warszawy przyznawali, że Łódź zaskoczyła ich swoją ofensywnością, jakością dokonań, rozległością poszukiwań. To, co przedstawiliśmy Polsce w Warszawie utrwaliło opinię o Łodzi jako ośrodku poważnych osiągnięć twórczych i naukowych (trzeba bowiem wspomnieć o cyklu wykładów naukowców łódzkich) i będzie procentowało w przyszłości. Mieliśmy szansę pokazania stanu swego posiadania całemu krajowi i potrafiliśmy tę szansę wykorzystać. Ogromny wysiłek organizacyjny sowicie nam się opłacił.

KONRAD FREJDLICH

Fot. Włodzimierz Parys

Konfrontacja ta wypadła nader pomyślnie. Teatr Nowy wystąpił z adaptacją powieści Denisa Diderota „Kubuś fatalista i jego pan". **„Reżyser Witold Zatorski** — zaopiniowała po spektaklu „Trybuna Ludu" — **wygrał w stylu brawurowym, budując z opowieści Diderota przedstawienie zwarte, pełne pomysłów w dobrym smaku i zrealizowane podług dobrze zastosowanej konwencji teatru estradowego, zabawy dowcipnej, od jednej przygody Kubusia przeskakując błyskawicznie do drugiej i dziesiątej, zabawy jaka w teatrze studenckim (ale wybornie zagranej), zabawy zresztą obudowanej elementami musicalu, piosenkami, dopisanymi przez adaptatora — reżysera (dobra muzyka w typie balladowo-songowym Stanisława Radwana)".** Wiele pochwał Jaszcza zebrał także BOGUSŁAW SOCHNACKI, odtwórca głównej roli. Dobrze zostało także przyjęte przez publiczność i krytykę przedstawienie brechtowskiej „Matki Courage" w wykonaniu Teatru Powszechnego z JADWIGĄ ANDRZEJEWSKĄ w roli tytułowej. **„Reżyser przedstawienia** — pisał M. Misiorny oceniając spektakl — **w łódzkim Teatrze Powszechnym, Jerzy Hoffman, odszedł od brechtowskiego modelu przedstawienia — aczkolwiek nie zrezygnował z traktowania opowieści o Annie Fierling, zwanej Matką Courage, jako modelowego przypadku losu ludzkiego, uwikłanego w wojnę i przez nią zdeterminowanego (...) Jest to koncepcja interesująca, a samo przedstawienie jest sukcesem i teatru, i „Panoramy Trzydziestolecia", w której programie zespół łódzki wystąpił w Warszawie".**

ANDRZEJ GRUN

NIEZŁY POMYSŁ, TATO

Z okna pokoju przyglądam się jak toczy leniwie swoje brudno-ugrowe wody Tamiza. Zatem Londyn. Wynająłem pokój w Dokach św. Katarzyny; zakazana dzielnica, ale za to z tradycjami. Na prawo mam dziwaczną konstrukcję mostu Tower Bridge, z ośmioma białymi wieżyczkami, którego wielkość i proporcje (jak się o tym niebawem przekonam zmieniają się w zależności od pory dnia i oświetlenia; na wprost rzekę Tamizę, dzięki której Londyn (a onegdajsze Londynium) jest w tym miejscu właśnie, w którym jest; na lewo, gdzieś już poza zasięgiem mojego wzroku, ciągną się London Docks, Surrey Commercial Docks, West India i East India Docks, Millwall, aktualny Port Londyński... To działa na wyobraźnię. A więc pozdrawiam cię, Tamizo, rzeko, która przez dziwne zrządzenie losu stałaś się moją dobrą znajomą, zanim zobaczyłem twoje mętne i brudne wody na własne oczy. I nie dziwisz się chyba zbytnio, że witam cię na modłę rzymską; wszak rzymscy to legioniści zaczęli pisać historię twoją i miasta, które legło na twoich brzegach i stało się tym, czym jest i przestało być tym, czym było do niedawna jeszcze dla Wyspy, Europy, świata...

1.

A zatem, bądź pozdrowiona raz jeszcze. How are you?

Poza tym mam dużo czasu, ogromny apetyt i sporo w sobie ciekawości. Nie mam natomiast żadnych uprzedzeń do zgniłego Zachodu (poza, oczywiście, uprzedzeniami natury zasadniczej) i żadnych kompleksów, bo jakież to kompleksy może mieć ródak Conrada, czyli niejakiego Nałęcza-Korzeniowskiego, który to tubylcom pokazał, co zdolny Polak może zrobić z językiem angielskim (zwłaszcza, gdy musi).

Rzucam więc raz jeszcze wzrokiem na Tamizę (zaszło słońce i zrobiła się zupełnie brunatna) i mówię sobie sakramentalne: — A więc w Polskę, miły bracie — ale łapiąc się natychmiast na drobnej, acz istotnej nieścisłości, poprawiam czym prędzej — a więc w Londyn... i wychodzę śmiało na bruk londyński. I tak to zaczęła się moja przygoda z Londynem, która, jak każda przygoda prawdziwa, zapisała w mojej duszy i w moim umyśle karty, których wyrazistości i sensu czas tak łatwo nie zatrze...

2.

Za jeden z najdonioślejszych wynalazków ludzkości uważa się powszechnie wynalezienie koła. Aliści Anglicy wynaleźli puby. Co do pierwszego wynalazku można toczyć spory, jako że istniały wysokie cywilizacje, które obchodziły się bez niego znakomicie; wielkość i ranga drugiego nie mogą budzić żadnych wątpliwości. Ulicę londyńską, z której by usunięto puby, przyrównałbym do atrakcyjnej, lecz głupiej, zimnej, bez seksu i duszy kobiety. Do żywego manekina, na którym powiesić i udrapować można dosłownie wszystko i wszystko „leżeć" będzie znakomicie, jak ulał. Zresztą Wyspiarze prędzej zgodziliby się na zlikwidowanie królowej (jako instytucji oczywiście) niż na likwidację pubów, które są dla nich wszystkim tym, czym na kontynentach zajmują się różne a rozliczne ministerstwa, resorty, stowarzyszenia, sekty i bractwa. Ponadto te przedziwne „knajpy" służą z równym powodzeniem tubylcom, co wszelkiego autoramentu i kondycji przybyszom, niezależnie od ich koloru skóry, języka jakim się posługują, wykształcenia, wieku, płci i wysokości bankowego konta, czego piszący te słowa był najlepszym przykładem i zapewnia, że nie pierwszym i nie ostatnim.

Może się komuś wydać dziwne, że dziennikarz, który wylądował w trzeciej co do wielkości metropolii świata, w światowym centrum (ciągle jeszcze!) gospodarczym, politycznym i kulturalnym, zaczyna swoją relację od peanów pochwalnych na cześć jakichś tam knajp. (Chwileczkę — nie „jakichś tam knajp", a pubów, a to różnica zasadnicza). Że nie o giełdzie, ani polityce, nie o muzeach i zabytkach, nie o ludzkim bogactwie i człowieczej nędzy, nie o aferach finansowych i modzie, nie o królowej, policjantach i Anglikach w melonikach pisze, a o miejscach, gdzie sprzedaje się piwo i szkocką, czyli innymi słowy ciągnie niecne zyski z nałogu i ułomności.

(Niecne zyski z nałogu i ułomności ciągnie się pod każdą szerokością geograficzną, a poza tym od czegoś trzeba było zacząć. Ręczę, że znajdzie się ktoś inny, kto zacznie od British Museum czy od rewelacyjnego faktu, że Anglicy mają królową. Na marginesie — to oni rzeczywiście tą królową mają; widziałem na własne oczy. Codziennie kilkanaście razy oglądałem jej profil na pensach, a to przecież właśnie angielskie przysłowie powiada, że „pieniądze mówią wszystkimi językami" — nie reklamowaliby więc na taką skalę czegoś, czego nie posiadają. Aż tacy obłudni to oni tam na Zachodzie nie są. A funt jest w cenie).

Wyjeżdżając do Londynu kupiłem sobie na wszelki wypadek książkę Ludwika Straszewicza (notabene swojego czasu badacza aglomeracji łódzkiej, którego tak niepomiernie zadziwiło zjawisko, że to prawie milionowe skupisko ludzkie posiada tak niewiele cech istotnie wielkomiejskich, że zajął się badaniami innych wielkich miast, aby fakt ów sobie i postronnym wytłumaczyć). „Wielkie stolice Europy", gdzie to w studium o stolicy Albionu wyczytałem, co następuje:

„Londyn mimo dziedzictwa rzymskiego a później przejmowania, choć w niewielkim stopniu, wzorów architektury i urbanistyki kontynentalnej, zwłaszcza włoskiej i francuskiej, nie jest podobny do żadnego innego miasta. Jego indywidualność przerasta wszelkie inne znane nam przykłady wielkich miast świata. Londyn jest bowiem nie tylko wielką aglomeracją, „...ogromem miejskim, który przerósł wszelką ludzką skalę", lecz również wielkim tematem o niekończących się problemach. Autorzy wydanej przed paru laty książki o Wielkim Londynie, J. T. Coppock i H. C. Prince, stwierdzają że jest to tak ogromny i złożony organizm, że wszelkie prace na jego temat muszą być wybitnie selektywne. Jest to prawda, o której musza pamiętać ci, co o Londynie piszą i ci, co o nim czytają.

Geografowie zajmujący się Londynem zaraz na wstępie swoich studiów napotykają trudności, które angielski specjalista londyński P. Hall ujął w lapidarnej formie pisząc, że pierwszym problemem Londynu jest jego zdefiniowanie. Nie, jest to łatwe ani proste, gdyż, jak stwierdził T. W. Freeman, na pytanie co to jest Londyn, można dać wiele odpowiedzi. Istnieje dziś co najmniej pięć zasadniczych pojęć Londynu..."

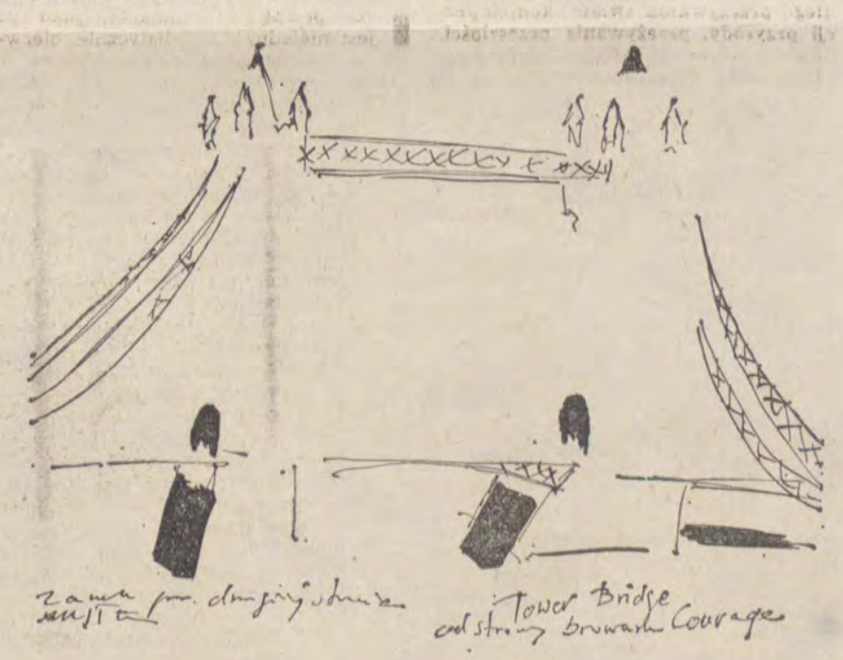

A ja tu chcę zobaczyć Londyn. Poznać atmosferę tego molocha. Poznać jego specyficzny smak, jego kolor, zapach. Mam na to miesiąc czasu, idealnie czyste konto bankowe i nikogo tutaj tak znajomego, kto mógłby mnie wziąć za rączkę i zaprowadzić tu i ówdzie. A folderom nie wierzę, bo nie wierzę reklamie w ogóle, chociaż uważam, że jest ona konieczna, nieodzowna i że bez niej byłoby szaremu człowiekowi nader smutno i źle. Miałem za to mapę i plan Londynu i swoje o tym mieście wyobrażenie, które było bardziej wyobrażeniem kogoś innego, zakochanego w nim, niż moim własnym. Musiałem zatem znaleźć jakiś klucz do owego ogromnego mechanizmu. Swój klucz. Więc znalazłem. Stała się nim ulica londyńska z całą swoją przewrotną złożonością, ze swym bogactwem form, nastrojów, barw i dźwięków, ze swymi instytucjami naturalnymi i sztucznymi, z mrowiącym się ludzkim tłumem, z przepychem, sztafażem i nędzą, histerią i historią, z teraźniejszością i z tym wszystkim, co rysuje na niej oblicze dnia jutrzejszego. Gdziekolwiek dotarłem, dotarłem z ulicy — dosłownie i w przenośni. I dlatego właśnie mój konterfekt Londynu, który kreśle, jest w takim samym stopniu prawdziwy, co kłamliwy, bowiem Londyn oglądany z wybranej przeze mnie perspektywy był również w części tylko prawdą, a w części ułudą. Realnością i omamem. Jakie są ilościowe proporcje tych percepcji — w tej chwili nie wiem i nie chcę wiedzieć, bo nie napisałbym słowa. Mogę jeno mówić o ich wyrazistości, o intensywności ich modelunku.

Dwoistość mojego spojrzenia wynika z innych jeszcze powodów. Włócząc się dniami i nocami po ulicach Londynu, wtryniając swój wścibski nochal wszędzie, gdzie się tylko dało, zadając się z każdym, kto tylko chciał się ze mną zadawać, w notatniku szkicowałem jednocześnie fragmenty miasta, które urzekły mnie swą urodą, zadziwiły brzydotą, zaskoczyły dziwacznością. I tak naprzemian oczami dziennikarza i malarza penetrowałem pejzaż miasta, które, być może, przerosło wszelką ludzką skalę, ale przecież nie przestało być miastem, w którym żyją ludzie — przez chwilę (jak ja), przez lata całe, pracują, kochają się, nienawidzą — a zatem pozostało jednak miastem na skalę człowieczą.

Ponadto wydaje mi się teraz, gdy staram się już wspomnieniom przecież nadać formę słów, że klucz przeze mnie wybrany okazał się dobrze dopasowanym kluczem, skoro dzięki niemu otarłem się i o historię miasta, i o jego teraźniejszość i przyszłość, i o Churchilla, i o sprawy polskie (jakże by inaczej), i o kowboja w Undergroundzie, i o polskiego lekarza, co jest barmanem, poprzez szerokość baru także i o parę polskich dziewcząt pracujących w pubach, o sztukę w oficjalnych galeriach i sztukę z ulicy Bayswater, o pewnego Nowozelandczyka zwanego Szczurem, o Turnera, Bacona i kilka innych spraw jeszcze.

4.

Po powrocie z Londynu spotkałem na ulicy znajomego.

— Podobno byłeś w Anglii? Przywiozłeś coś?

— Tak. Kilka Morrisów, trochę Austinów.

— Opłaciło się?

— Jak komu. Mnie — tak.

— Nie miałbyś czegoś dla mnie?

— Za późno. Wszystko poszło.

Odszedł łódzką Oxford Street zawiedziony.

5.

Na jezdni angielskiej, jak wiadomo, panuje ruch lewostronny. Jest to pierwsza rzecz, jaka się przybyszowi z kontynentu rzuca w oczy i która z chwilą, kiedy dostanie się on w mętlik ulicy londyńskiej, wywiera na niego presję tak przemożną, że po półgodzinnym pobycie na Piccadilly, na Oxford Street, na Trafalgar, na Payswater Road sprawia, że zaczyna on myśleć, czuć, chodzić, mówić i w ogóle robić wszystko inne lewą stroną mózgu, ciała i duszy. Staje się on osobnikiem lewostronnym, co, jak w przypadku nazbyt szybkich przemieszczeń w przestrzeni, nieuchronnie prowadzi do zachwiania równowagi psychofizycznej. A o to tylko Wyspiarzom chodzi. Taki osobnik, który z prawobocznego (czyli normalnego) stał się lewobocznym, jest już ich. Znalazł się w ich mocy i od tego nie ma odwołania. Sytuacja ulega gwałtownemu spiętrzeniu, gdy lewostronnym staje się lewicowy prawostroniec, czyli na przykład osobnik zamieszkujący tereny nad Wisłą powiedzmy i gdy jeszcze dzieje się to wszystko w tempie tak karkołomnym, że nie ma mowy o zastanowieniu czy samokontroli. Dla takiego straceńca napisy na jezdni każące mu „Look right" czyli „patrz w prawo" stają się po niedługim czasie oburzającą prowokacją, wręcz policzkiem. Jak mówiłem — o to tylko tym Wyspiarzom idzie.

Fakt, że Anglicy do tej pory nie zmienili ruchu na normalny, ma swoje historyczne uzasadnienie. Odwieczni konserwatyści, twórcy ogromnego imperium, od wieków ukrywali niecne praktyki pod płaszczykiem idei demokratycznych i postępowych. A to gdzieś do Indii i Afryki nieśli kagańce cywilizacji, a to wymyślali parlamentaryzm, a to oświecenie... aż hadko o tym wspominać. Oni do tej pory są przekonani, że ten numer będzie się im nadal udawał, z tą lewą stroną, oczywiście. Ale, póki co, to się udaje. I ja stałem się lewostronny.

I na tym właśnie polega pierwszy sekret ulicy londyńskiej — wciąga ona, zagarnia, pochłania bez reszty, wtapia w siebie, nicuje, otacza zewsząd, włazi do środka, czyni cząstkę siebie, porywa i niesie, choćbyś stał w miejscu jak słup.

Bardzo przyjemne uczucie.

Człowiekowi z kontynentu, a zwłaszcza z Łodzi, Londyn przypomina wielką rozróbę na placu teatralnym. Wytłumaczę zaraz. Otóż odurza, otumania, a zarazem oburza go i otępia chaos i bałagan, czyli innymi słowy autentyczny bardak, panujący na tych kilku głównych ulicach Londynu, gdzie są wszyscy i jest wszystko. Mówiąc o wszystkich, mam na myśli wszystkich z całego świata; mówiąc o wszystkim, mówię o domach, przedmiotach i ozdóbkach bardziej lub mniej funkcjonalnych. Dalej kontrast tego wszystkiego ze spokojem i ciszą pierwszej lepszej bocznej uliczki, zabudowanej identycznymi domkami w tzw. stylu angielskim, które może różnią się kolorem drzwi lub rodzajem kwiatów w miniaturowym ogródku, lub tym, że na niektórych wiszą tablice z napisem: **FOR SALE, FOR DISPOSAL, TO LET** (co oznacza, że ktoś coś z tym domkiem zamierza zrobić), ale doprawdy niczym więcej. Im dalej od centrum, tym tych uliczek więcej, aż wreszcie przedmieścia są samymi takimi uliczkami równo stojących, schludnych zazwyczaj domków (istotnieje bowiem tam godny pochwały zwyczaj dość częstego malowania i mycia tych obiektów) i domki te przypominają na koniec stojące w równych szeregach wojsko gotowe wejść do śródmieścia, na plac teatralny, gdyby rozróba przybrała tam rozmiary niepokojące. I oto nagle włóczący się po Londynie cudzoziemiec (a przypuszczam, że Anglicy czują to jeszcze mocniej) odkrywa pewien porządek i ład, więcej, uświadamia sobie, że w chaosie londyńskiej city istnieje specyficzny rodzaj porządku i hierarchii. Odnosi się wrażenie, że ktoś tym wszystkim kieruje i ktoś nad tym wszystkim czuwa i że nie ma powodu do obaw i można śmiało skoczyć w to wszystko głową w dół, zanurzyć się aż do dna. No, może nie do dna ostatniego, ale tak do pierwszego, drugiego...

To właśnie drugi sekret ulicy londyńskiej: równowaga między chaosem i ładem. Dlatego może w Londynie jest tyle zielonych parków i skwerów? Może dlatego policjanci chodzą bez broni? Może dlatego na Piccadilly Circus, w świetle różnobarwnych, pulsujących neonów i świateł, pośród równokolorowego ruchliwego tłumu i nieustannego wirowania samochodów długowłosy hipi (czy aby autentyczny?) siedzi nieruchomo wsparty o krawędź fontanny?

7.

Ulica londyńska odbiera ci imię i nazwisko, ale nie zmusza nikogo, żeby oddał przy okazji swoją twarz, aczkolwiek robi wszystko w tym kierunku. Absolutnie wszystko. Jest

kusicielką bezwzględną i okrutną; jest to bowiem ulica, na której pieniądz wycisnął swoje piętno. Jest przebogata, bogata lub nędzna z racji bogactwa. To trzeci sekret ulicy londyńskiej.

Czy spotkałem tam ludzi, którzy stracili swoją twarz?

Przyjacielu, który zadajesz mi to pytanie, czyżbyś żądał ode mnie, abym osądzał bliźniego swego? Dzisiaj akurat nie jestem w nastroju. Odczep się.

8.

Ulica londyńska posiada swoją filozofię. To jej sekret (czwarty). Żeby go poznać, trzeba tam przeżyć wiele lat, może całe życie. Może po prostu trzeba się tam urodzić.

9.

...oto idzie śliczna Hinduska z diamentem w kąciku nosa mija mnie smukła Mulatka z fryzurą afro tak ogromną że... Idzie przede mną młodzian o ruchach baletnicy na dwudziestocentymetrowych zelówkach. Na przystanku BUS czeka kobieta ubrana „normalnie" z torbą zakupów w ręku. Mija mnie wytwornie ubrany Hindus z siwą brodą w białym zawoju, Japończyk szczuplutki w biodrach, szczuplutki w ramionach, w obcisłym ubranku dżinsowym, z czarnymi, gładkimi włosami, porcelanowy cały, a jednak prawdziwy, młodzian z kolczykiem w uchu, młodzian z dwoma kolczykami, młodzian z trzema kolczykami, młodzian, dziewczyna z długimi rozpuszczonymi włosami w połatanej dżinsowej spódnicy do ziemi, bosa, naga do pasa w staniku, w którym przez dziurki wyglądają jej sutki, facet nagi w kożuchu, facet z ogoloną głową, z pękiem włosów jeno na samym czubku, w nocnej koszuli chyba z sekty Kriszna, wycieczka z Hamburga, Murzyn Murzysty a nieduży, żółty jeden, drugi, dziesiąty, wycieczka z Nowego Jorku, ja ze swoją rudą brodą z cygarem churchillowskim w gębie...

Panie, wszystko coś gdziekolwiek stworzył, na tej ulicy spotkać można! To jest następny sekret londyńskiej ulicy. Ma w sobie widać jakiś magnes. A może ludzie lepiej czują się w dużym tłoku niż w małym tłoczku. Może człowiek musi być albo sam, albo we dwoje, albo w ogromnym stadzie, albo na koniec dobrze mu samemu w stadzie przeogromnym? Kto to wie?

10.

Wszystkich tajemnic londyńskiej street i tak nie wymienię, bo ich po prostu nie poznałem. I nikt ich chyba nie zna. Może jeno sam czart, który to wszystko rozkręcił, w sobie tylko wiadomych celach? Śródmieście Londynu liczy obecnie 303 kilometry kwadratowe, a zamieszkuje je ponad trzy i pół miliona ludzi. Tak zwany Wielki Londyn, czyli administracyjnie Greater London Council rozsiadł się na 7.700 kilometrach kwadratowych i gromadzi ponad osiem milionów. Dodajmy jeszcze do tego turystów i tych, o których nikt nie wie, że mieszkają w Londynie, a otrzymamy obraz rzeczywiście sporej gromadki na równie sporym terenie. Ale ten obraz niewiele nam da, bo będziemy go oglądać przez odwróconą lornetkę.

A kiedy czułem się zmęczony ulicą londyńską, albo nagle kogoś mi po prostu zabrakło tu, na londyńskim asfalcie, albo chciałem skreślić list (w sprawach kultury) do mojego przyjaciela, Jureczka Wilmańskiego, wstępowałem po prostu do pierwszego lepszego pubu (jakaż ich błogosławiona mnogość!) zamawiałem butelkę Double Diamond, albo duży kufel Worthingtona i wszystko było o'key! Ale o pubach — kiedy indziej. Za poważny to temat na parę zdań.

ANDRZEJ GRUN

JACEK INDELAK

SZTURM NA CENTRUM

Łodzianin z sympatii i przypadku — Jan Sztaudynger — zarzucał nam wszystkim — rdzennym mieszkańcom tego miasta, że największą naszą troską jest to, aby Łódź całą zmieścić na Piotrkowską. W ostatnim jednak czasie adekwatniejszą do rzeczywistości byłaby taka parafraza:

Największą wszystkich dziś
łodzian jest troską:
jak Łódź całą przenieść
poza . . . Piotrkowską!

.A co z Piotrkowską?

Nasza — dumna i śmieszna, żałosna i piękna, superwiejska i wielkomiejska — Piotrkowska stanie się... skansenem.

Rozpoczął się bowiem szturm na centrum! Zamach na hegemonię i dominację Piotrkowskiej. Odzierana ona była stopniowo, systematycznie, skutecznie z jej znaczenia, władzy, potęgi, uniwersalności. Były to jednak zmiany powolne, niewidoczne, czynione bowiem na drodze ewolucji. Dziś ewolucję skutecznie wypiera rewolucja, która przyniesie w dniu zwycięstwa detronizację Piotrkowskiej. Nosi ona oficjalną nazwę: **„Przebudowa śródmieścia".**

Szturm na centrum rozpoczął się. Dziś — każda chwila jest droga. Zbyt droga na to, aby ją trwonić na dyskusje. Na dyskusje o pryncypiach za późno. Zastanawiać się można tylko nad szczegółami. Za późno też już dziś na marzenia i wizje. Choćby takie, jakie w ostatnim numerze „Odgłosów" dali: Witold Millo i Antoni Szram, sprowadzając je zresztą do wcale nie najistotniejszej, choć w całym temacie ważnej, **budowy centrum kultury.** Wprawdzie interesujący i chwalebny jest sposób, w jaki znany łódzki architekt, W. Millo „przeżywa" swoje urbanistyczno-estetyczne rozterki, wizje i marzenia o nowej Łodzi, ale...

Nie ma racji Antoni Szram, stwierdzając, że **„na łamach łódzkich czasopism toczy się spór o to, co w mieście należy wyburzyć, a co nowego zbudować".** Spór się już nie toczy. Dziś bowiem możemy sobie — co najwyżej — dyskutować nad tym, **jak i kiedy burzyć i jak budować.**

Moim zdaniem nie czas już na debaty generalne, czas — na działanie! Marzenia? Wizje? I owszem, ale na deskach kreślarskich. **W ręce architektów złożono los centrum Łodzi.** Od nich zależy teraz nie tylko to, czy będzie owo centrum na miarę lat dwutysięcznych, ale również i to, czy centrum do... dwutysięcznego roku stanie.

Szturm na centrum trwa! Zamachowcy (urbaniści) podzielili je na czterdzieści siedem rejonów projektowania, których zarysy wytyczają w różnych wariantach zamknięte ulicami: **Ogrodowej — Północnej — Kopcińskiego — Tuwima — Targowej — Kilińskiego — Wólczańskiej oraz Narutowicza — Kilińskiego — Wigury — Kościuszki.**

Krótki spacer po śródmieściu wystarczy, żeby zrodziła się nadzieja, iż projekty długo nie zagrzewają papieru w pracowniach architektów. W każdym bez mała z tych kwartałów coś się już dzieje. Wystarczy przecież popatrzeć — ot, chociażby — **na skrzyżowanie ulicy Traugutta z Kilińskiego, na Główną między Piotrkowską a Kilińskiego, na aleje Kościuszki...** Nawet to, co zrobiono do tej pory, co się robi teraz — daje przedsmak rozmachu i skali całego przedsięwzięcia.

Cóż jednak dopiero powiedzieć, gdy się zważy, iż główne uderzenie — prawdziwa koncentracja sił i środków — przymierzone jest do przyszłej pięciolatki. W latach 1976 — 1980 spośród wspomnianych czterdziestu siedmiu rejonów całkowicie ma zostać ukończonych osiemnaście, dalszych dwadzieścia dziewięć ma być albo prawie ukończonych, albo też przygotowanych do szybkiego zakończenia po 1980 roku.

W ciągu każdej statystycznej godziny przyszłej pięciolatki na przebudowę śródmieścia wydawać się będzie około stu siedemdziesięciu tysięcy złotych. Każda statystyczna doba pochłonąć powinna przeszło cztery miliony złotych. W pięcioletnim wymiarze są to już miliardy. Nawiasem mówiąc, dane te — dalekie od oficjalności, stanowiące bowiem wynik moich pobieżnych wyliczeń — są w porównaniu z uwzględnionymi w planach limitami nawet sporo zaniżone. **A więc jest temat do rozważań: Jak budować, aby nie zmarnować pieniędzy i spełnić marzenia łodzian?**

Pierwszym zadaniem będzie **budownictwo mieszkaniowe,** drugim — droższym i rozleglejszym — **budowa centrum usługowego,** w którego funkcjach znajdzie odbicie jak najszersza definicja słowa „usługi". Twórcy centrum usługowego dążą bowiem do tego, aby w jego granicach każdy łodzianin mógł — poruszając się po stosunkowo niewielkim obszarze — zaspokoić swoje najrozmaitsze potrzeby.

Tworzenie samego tylko centrum usługowego kosztować ma w przyszłym pięcioleciu przeszło sześć miliardów złotych, z których trzy czwarte przeznaczy się na nowo rozpoczynane zadania inwestycyjne. A zadań tych ma być, skromnie mowiąc, mnóstwo. Program budowy tej części śródmieścia zawiera bowiem czterdzieści sześć tytułów inwestycyjnych, których ilość nie jest bynajmniej równa ilości pojedynczych obiektów. Sformułowanie „tytuł inwestycyjny" dotyczy w większości nie jednego budynku, lecz budowlanego kompleksu, który, przez zbliżoną lokalizację i pokrewne funkcje części składowych, projektowany musi być w całości.

Co się złoży na centrum? Kilka placówek już stoi. W granicach centrum — i urbanistycznym i funkcjonalnym, znajdą się przecież i **„Central"** i pawilon **„Chemii"** przy Traugutta i sąsiadujący z nim gmach **„Textilimpexu"** i **„Poczta — Telegraf — Telefon"** z alei Kościuszki... Są to jednak zaledwie zalążki — przedsmak jeno tego, co nas — łodzian — czekać będzie za parę lat w śródmieściu.

A co nas tam będzie czekać, zobrazuje najlepiej długa, aczkolwiek ze zrozumiałych względów fragmentaryczna, wyliczanka:

W centrum miasta stanie ośrodek telekomunikacji. W alei ZMP młodzieżowa kawiarnia. Przy ulicy Tuwima powstanie nowy dom obuwia. PSS wybuduje kolejny dom towarowy, nie ustępujący wielkością „Centralowi" i „Uniwersalowi". Przy Piotrkowskiej wzniesione zostanie nowe kino. Największe i najnowocześniejsze. Na sześćset miejsc. Rozbudowana zostanie „Tivoli" i dawna „Esplanada" (dziś dom handlowy „Janina"). Utworzą one sporz kombinat rozrywkowo - gastronomiczny. Między ulicami Tuwima i Nawrot wybudowany zostanie kompleks placówek kulturalnych. Poczesne wśród nich miejsce zajmie nowa siedziba Filharmonii Łódzkiej oraz wielka galeria sztuki.

Wzdłuż ulicy Mickiewicza wznoszony będzie ciąg pawilonów i budynków handlowych, usługowych i gastronomicznych. Przy ulicy Kilińskiego wyrosną nowe salony łódzkiej „Telimeny". W rejonie placy Zwycięstwa wybudowany będzie dom związków zawodowych, pawilony handlowo-wystawiennicze, w których prawdopodobnie odbywać się będą w przyszłości krajowe i mędzynarodowe targi oraz giełdy włókiennicze, a także nowy hotel. Przy ulicy Mickiewicza — nowa siedziba Centralnego Laboratorium Przemysłu Wełnianego. Przy ulicy Piotrkowskiej 260, za sto sześćdziesiąt milionów, ma być centrum dla organizacji młodzieżowych.

Wszystkie z wymienionych zadań realizowane będą dopiero w przyszłej pięciolatce. Szturm na centrum jednak już trwa. Przeprowadzana jest lub zacznie się w najbliższych miesiącach realizacja wielu innych inwestycji.

Należy do nich siedziba Dyrekcji Rynku Pracy, eksperymentalnej w skali kraju instytucji, wyposażonej w wielką technikę, cybernetykę i elektronikę, której wyznaczono lokalizację u zbiegu ulicy Nowotki z 19 Stycznia. Do końca tej pięciolatki wykonana zostanie też spora część prac budowlanych u zbiegu ulicy Kilińskiego i Rewolucji 1905 roku, gdzie powstać ma nowoczesna przychodnia międzyuczelniana dla łódzkich studentów. Przy ulicy Narutowicza natomiast wybudowany ma być dom aktora. Miejskie Biuro Projektow wznosić będzie swoją nową siedzibę w rejonie ulicy Traugutta, zaś wojewódzki „Miastoprojekt", przy ul. Zamenhofa.

W rejonie: Główna — Roosevelta powstanie nowe locum dla „Skórimpexu" oraz trzy pawilony handlowo-usługowe. Przy ulicy Piotrkowskiej 103/105 wybudowany ma być nowy „Orbis".

Wyliczankę tę, pobieżną i skrótową, warto zakończyć jedną z najciekawszych pozycji: zlokalizowanym w klinie ulic Głównej i Kilińskiego centralnym domem towarowym. Wielokondygnacyjny, sięgający wysoko w górę i głęboko pod ziemię. W jego podziemiach, tyle starczy powiedzieć, swobodnie poruszać się będą ciężkie samochody dostawcze. Jego kubatura sięgnąć ma rozmiarów zsumowanych domów towarowych z warszawskiej Ściany Wschodniej. Wentylacja, klimatyzacja, automatyzacja, przestrzeń życiowa i przestrzeń handlowa, ruchome schody i wodotryski. Do tego takie atrakcje, jak klasyczny — czynny późno w noc — drugstore. Można będzie w nim dostać wszystko, począwszy od świeżego pieczywa, poprzez suweniry i drinki, na aspirynie skończywszy. A nadto, przy kawie czy coctailu, można tam będzie posłuchać nie tylko dobrej muzyki, ale i nawet potańczyć czy pouprawiać niegroźny hazard na automatach do gier zręcznościowych...

Wszystko, co zostało wyżej powiedziane, to po prostu prawdziwie wielkomiejskie city, centralna strefa usługowa. Strefa, dzięki której Łódź po dziesiątkach lat bałaganienia, koślawienia, bełtania jej zabudowy wyrwie się wreszcie na dobre z urbanistycznego chaosu w funkcjonalny i uporządkowany układ przestrzenny. Od zupełnych peryferii, poprzez dzielnice przemysłowo-składowe i mieszkalny pierścień, dotrze ład i porządek do samego, najbardziej przecież dotąd zabałaganionego, serca miasta.

A zatem, **układ strefowy,** jakim się charakteryzuje wiele nowoczesnych, od podstaw planowanych i tworzonych kompleksowo miast świata. Doświadczenia — złe i dobre — tych miast uwzględniane są, jak najszerzej i najpełniej, w programowaniu i projektowaniu nowej Łodzi. Te właśnie, odpowiednio wykorzystane do doświadczenia mają w rezultacie maksymalnie ułatwić i uprzyjemnić życie łodzianom.

Podział na strefy nie jest jednak w przypadku Łodzi zbyt rygorystyczny. Każda z nich, każda dzielnica, każde osiedle, rejon czy kwartał, traktowane są przez urbanistów i architektów jako odrębne całości — niczym sioła czy miasteczka, których mieszkańcom stworzyć trzeba możliwość wyzwolenia się od przymusu całkowitego podporządkowania się strefowej koncepcji miasta. Stąd też tak ogromne ostatnio naciski na cierpiące, niestety, na żółwią chorobę budownictwo towarzyszące w istniejących już lub powstających dzielnicach mieszkaniowych. Stąd też centrum usługowe nie jest i nie będzie traktowane na zasadzie idealnego panaceum na wszystkie potrzeby łodzian. Wręcz przeciwnie. Ma ono być tylko skoncentrowanym, esencjonalnym i najwygodniejszym w użyciu uzupełnieniem całej, istniejącej i planowanej, sieci rozrzuconych po całym mieście, docierających do najodleglejszych jego zakątków, placówek usługowych wszelkiej maści i przeznaczenia.

Wracając jednak do doświadczeń: umiejętne ich wykorzystanie jest gwarancją uniknięcia popełnionych przez innych błędów. Na całym świecie straszą wieczorami i po nocy centralne strefy, które po zakończeniu pracy urzędów i sklepów, wymierają do tego stopnia, że nawet pies z kulawą nogą... O nie, takiego centrum w Łodzi nie będzie. Ma ono w przyszłości żyć całą dobę.

Twórcy nowego śródmieścia spore jego fragmenty przeznaczyli przecież pod budownictwo mieszkaniowe. **ŚDM — Śródmiejska Dzielnica Mieszkaniowa** staje się powoli symbolem, synonimem nowoczesności, śródmiejskości, wysokiego standardu. W rejonie: **Główna — Piotrkowska — Wigury — Sienkiewicza** otrzymają łodzianie cztery tysiące izb mieszkalnych. Kwartał: **Sienkiewicza — Główna — Kilińskiego — Orla,** to ŚDM-C, w którym powstaną dalsze trzy tysiące izb. Ponad dwa zaś tysiące liczyć będzie ŚDM-E **(Piotrkowska — Wigury — Sienkiewicza — Brzeźna)** oraz ŚDM-F **(Główna — Targowa — Kilińskiego).**

Niekoniec na tym. Powstaje przecież osiedle: **„Świerczewskiego — Czerwona",** rozpadające się — oczywiście na deskach kreślarskich — na dwie części. **Północna** (Świerczewskiego i Worcella) otrzyma w przyszłym pięcioleciu tysiąc izb. **Południowa** (Czerwoną i Stanisława) półtora tysiąca. Osiedla te są już budowane. Najbliższe lata przyniosą jednak tworzenie od podstaw trzeciego śródmiejskiego osiedla mieszkaniowego: „Nowa — Wysoka".

W sumie przyszła pięciolatka przynieść ma w centrum czternaście tysięcy oddanych do użytku izb. Z tych tysięcy prawie dziewięćdziesiąt procent mieszkań w wysokościowcach liczących po dwanaście, szesnaście i więcej kondygnacji.

Szturm na centrum trwa! Wielkie słowa jak najbardziej na miejscu: program ogromny, ambitny i trudny. Nie tak łatwo go będzie wcielić w życie. Zwłaszcza że to, co zostało zasygnalizowane wyżej, dalekie jest od wyczerpania tematu. Pozostała jeszcze np. tak rozległa dziedzina, jak radykalna zmiana układu komunikacyjnego.

Przebudowa śródmieścia była tematem jednego z ostatnich posiedzeń Egzekutywy KŁ PZPR. Stanowisko łódzkiej instancji partyjnej jest w sprawie budowy nowego centrum jednoznaczne. Jest to wprawdzie potężne i istotne dla całego miasta zadanie inwestycyjne, nie może ono jednak przesłaniać, podporządkowywać sobie innych — nawet pomniejszych i pozornie mniej ważnych — fragmentów programu rozwoju i modernizacji miasta. Z drugiej jednak strony nie można sobie w trakcie budowy centrum pozwolić na najdrobniejsze nawet kompromisy i odstępstwa od ambitnych zamierzeń. Ma to być bowiem centrum już nawet nie na miarę dwutysięcznego roku!

A za tych kilkanaście lat, kiedy się zakończy szturm na centrum, spacerując zamienioną w skansen ulicą Piotrkowską, nie bez satysfakcji wspomnieć sobie będziemy mogli myszką już wówczas trącącą fraszkę mistrza Sztaudyngera. I będziemy mogli skonfrontować nasze marzenia z rzeczywistością. Ale, aby tak było, nie wystarczy tylko wierzyć, trzeba też rzetelnie pracować.

Fot: W. Parys

PUSTA ŁAWKA

Dalszy ciąg ze str. 1

17 października 1974 roku, po meczu wygranym z Górnikiem Zabrze 2:1 **„Express Ilustrowany"** pisał:

„NARESZCIE! OCZEKIWANE (OD SIERPNIA) ZWYCIĘSTWO ŁKS".

Na zwycięstwo to kibice ŁKS czekali jednakże znacznie dłużej. Ostatnie zwycięstwo — przed wygraną z Górnikiem Zabrze — piłkarze ŁKS odnieśli w piątym lub szóstym meczu wiosennej rundy ubiegłego sezonu. Było to zwycięstwo 1:0 w meczu z Legią.

Kiedy końca dobiegła wiosenna runda ubiegłego sezonu, a ŁKS zajmował 6 pozycję w tabeli I ligi, **„Dziennik Łódzki"** dokonał interesującego bilansu, sporządzając na użytek kibiców tabelę rozgrywek ligowych tylko tej rundy. ŁKS w tej tabelce zajmował 13 miejsce, ze stosunkiem punktów 10:14 i stosunkiem bramek 9:11.

A więc kryzys ŁKS zaczął się wcześniej, a obecnie drużyna zbiera tego owoce.

Przed meczem z Górnikiem Zabrze **„Głos Robotniczy"** pisał:

„...cennym dla piłkarzy ŁKS sojusznikiem może właśnie w tym meczu okazać się stały kontakt drużyny z jej sympatykami. Kontakt bardziej życzliwy, mniej przeplatany gniewem publiczności. Za mało w obecnej rundzie dostarczyła ona nam radości, co dokładnie ilustruje jej punktowy dorobek, no i naturalnie miejsce (ostatnie) w tabeli, lecz bezcennym skarbem w sporcie jest wiara w lepsze jutro i moralne poparcie otoczenia dla tych, którzy walcząc przecież ofiarnie, jak do tej pory nie wynoszą żadnych prawie zysków z boju (...).

A gdzie słowa krytyki? — zapyta zawiedziony kibic. Na analizę przyczyn potknięć ełkaesiaków przyjdzie czas. Dziś chwila do tego najmniej odpowiednia, bo krytyka nie wpłynie ani na ich styl działań, ani nie podniesie ich na duchu".

Nie wszyscy byli jednak tego zdania, bo 16 października 1974 roku **„Dziennik Łódzki"** pisał:

„Otrzymaliśmy wczoraj dziesiątki telefonów od Czytelników naszej gazety zaniepokojonych sytuacją, w jakiej znajduje się obecnie ŁKS. Telefonowali także ci, którzy nie zważając na dotychczasowe niepowodzenia, udali się do Poznania, by w deszczu i chłodzie dopingować swoją drużynę. Wrócili do domu zawiedzeni".

Mimo to trudno nie zgodzić nię ze stanowiskiem „Głosu Robotniczego", że niepora teraz na krytykę piłkarzy ŁKS. Nie zwalnia to jednak nikogo z obowiązku zastanowienia się nad przyczynami kryzysu, jakiemu uległa jedenastka ŁKS. Tym bardziej że nie pierwszy to kryzys w dziejach tej drużyny.

Nie tak dawno, bo pod koniec 1971 roku miałam wątpliwą przyjemność postawić na łamach tychże „Odgłosów" pytanie: **SPADNĄ, CZY NIE SPADNĄ?** Było to krótko po tym, jak piłkarze ŁKS wywalczyli uprawniony przez kibiców awans do I ligi, aby zaraz jesienią znaleźć się wśród tych drużyn, którym groził spadek do II ligi. Na szczęście, dla drużyny i kibiców, uratowali się przed spadkiem, a jesienią — w sezonie 1972—1973 — mieli nawet szansę na zdobycie tytułu „mistrza jesieni". Kibice odetchnęli z ulgą. Wydawało się, że ŁKS wypłynął na spokojne wody.

Ale oto znów stoimy w obliczu kryzysu drużyny i rodzi się u nas wszystkich pytanie: **dlaczego ŁKS ma stałe, okresowe spadki formy, dlaczego trwa huśtawka jego pozycji w tabeli, dlaczego ciągle boimy się, że spadnie do II ligi? Jakie są tego przyczyny?** Można się zgodzić, że nie o napastliwą krytykę tu chodzi, nie o powtarzanie okrzyków z trybuny, wysyłających tego i owego na emeryturę. Chodzi o spokojne i rzeczowe zastanowienie się nad źródłami sytuacji, która ciągle rodzi niepokoje, zmusza do troski o los drużyny piłkarskiej ŁKS. I na takie rozważania czas jest właściwy.

Chciałabym tylko przypomnieć, że obecny kryzys przeżywa ta sama jedenastka, która jeszcze jesienią ubiegłego roku miała szanę na zdobycie wysokiej pozycji w tabeli I ligi. W sporcie bowiem sukcesy nie przychodzą od razu, trzeba na nie pracować długimi latami. I podobnie — kryzysy też nie objawiają się nagle.

☆ ☆ ☆

A więc, **co złożyło się na ten kryzys?**

— Przed rozpoczęciem sezonu obecnego — mówi trener ŁKS Paweł Kowalski — **pięciu zawodników borykało się z kontuzjami. A powiedzmy sobie szczerze, że do dziś nie wszyscy są wyleczeni. Gramy więc z zawodnikami nie w pełni sprawnymi. To też znajduje odbicie w wynikach.**

— Mieliśmy w tym sezonie niefortunny kalendarz rozgrywek — twierdzi Jan Lubański, zawodnik ŁKS. — **Niemal co roku pierwszy mecz gramy z beniaminkiem I ligi. To jest oczywiście handicap dla gospodarzy. W tym roku nieszczęśliwie przegraliśmy z Arką w Gdyni. Drugi mecz wypadł nam z mistrzem Polski. Graliśmy dobrze, ale przegraliśmy. I tak się zaczęło. Chcielibyśmy zatrzeć złe wrażenie, jakie powstało po naszych porażkach. Potrzeba nam 10 punktów jeszcze w tej rundzie.**

— Kiedy gramy na własnym boisku — dodaje inny zawodnik ŁKS, Ryszard Polak — **to wystarczy 0.0, aby mecz mógł przebiegać dobrze. Niech tylko wpadnie przypadkowa bramka, zaraz zaczynamy grać nerwowo, a publiczność jest zdenerwowana i już jest po meczu. Ja rozumiem publiczność, ona bardzo chce abyśmy wygrali, a kiedy zaczynamy przegrywać, to nie spełniamy jej nadziei i ona jest przeciw nam. Nam to jednak bardzo przeszkadza.**

— Zdajemy sobie w pełni sprawę z tego — stwierdza Paweł Kowalski — **że nie posiadamy w zespole indywidualności, które mogłyby wziąć na siebie cały ciężar gry na boisku, które pokierowałyby drużyną. Mamy tylko Jana Tomaszewskiego, ale on, stojąc w bramce, nie może wpłynąć na przebieg gry w polu. Nie jest też**

Dalszy ciąg na str. 7

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Fot: W. Parys

Urodził się 3 czerwca 1920 roku w Mińsku Mazowieckim. Uczęszczał do szkoły średniej w rodzinnym mieście, gdzie też w okresie okupacji uczył na kompletach gimnazjalnych. Od 1946 roku mieszka w Łodzi. Pracuje na stanowisku redaktora w Wydawnictwie Łódzkim.

Wydał m. in. poezje: „Uczta Aureliana" (1944, druk konspiracyjny pod pseudonimem: Tadeusz Rokitniak), „Najmilsze strony" (1956), „Itaka" (1958), „Miesiąc utajony" (1960), „Puste krzesło" (1967), „Wiersze opolskie" (1967), „Hipokrene warmińska" (1969), „Karta powołania" — wybór wierszy (1973). Proza: „Rodzina Jednorożców" (1961), „Szkoła dwóch dziewcząt" (1965), „Szkarłatna godzina" (1968), „Aurelian, albo zjazd koleżeński" (1971), „Srebrna i odloty" (1974) oraz „Laska Matuzalema" (1974).

Z ważniejszych prac edytorskich warto wymienić: „Księgi humoru polskiego", szereg tomów „Biblioteki Poetów" oraz almanachu „Rzecz Poetycka", „Wiersze wybrane" Pietnikowa (wybór, opracowanie, posłowie historyczno-literackie).

Obfity dorobek przekładowy Chróścielewskiego obejmuje zarówno klasyczną poezję rosyjską, jak i utwory poetów i prozaików ostatnich generacji, wiersze dawnych i nowych poetów białoruskich, bułgarskich, azerbejdżańskich, litewskich, łotewskich, macedońskich, niemieckich, gruzińskich, słoweńskich i ukraińskich. Dodajmy do tego szkice historyczne, historyczno-literackie oraz eseje na temat sztuki translatorskiej.

Wiersze Chróścielewskiego tłumaczone były na języki: białoruski, francuski, litewski, niemiecki, rosyjski, serbo-chorwacki, ukraiński i węgierski.

Twórczość poetycka i prozatorska Chróścielewskiego jest swoistym fenomenem we współczesnej literaturze polskiej — monolityczna, ale różnorodna w swej jedności. Proza z poezją wzajem się tu uzupełniają. Poetyka ich, idąca w parze ze światopoglądem, wyraźnie odrysowuje się od mód literackich, kierunków chodliwych na giełdzie artystycznej, nowatorskich programów. Stanowi krąg zamknięty, dziwny dla czytelnika przyzwyczajonego do awangardowych eksperymentów, dziwny i nieco tajemniczy, a przy tym wielce uroczy. Chróścielewski jest pisarzem otwartym na przeszłość i kto wie, czy nie ostatnim, który „tak poloneza wodzi", bowiem swój trud twórczy kierował w pierwszym rzędzie w stronę świata, który odszedł. Uciążliwa to droga, zważywszy, iż sentyment do podkoloryzowanej przeszłości zmaga się w psychice z surową realnością czasu teraźniejszego. Ale uczucie sympatii do minionego świata nie powinno przerodzić się w apologię, w absolutyzowanie czasu przeszłego, kosztem współczesności i przyszłości. Wówczas oczekiwałby twórcę los wygnańca z czasu, anachorety, który nie mógłby liczyć nawet na życzliwość u potomnych.

Zainteresowanie historią wynika na ogół z kłopotów z teraźniejszością. „Każde pokolenie tworzy sobie własną filozofię dziejów zgodnie ze swoją wizją, na swoją miarę, ponieważ charakteryzuje ono przeszłość z punktu widzenia teraźniejszości, która przemija i myśli o teraźniejszości jako o funkcji przeszłości" — pisał francuski historyk L. Halkin. Można rzec, że z podobnych pobudek wyrasta dzieło Chróścielewskiego. Gorzej rzecz się ma z zaszeregowaniem pokoleniowym pisarza. Rocznikiem jak i okupacyjną biografią przypisany jest pokoleniu Kolumbów, ale na kształtowaniu charakteru umysłowości poety zaciążyła jednak najbardziej tradycja rodzinna, a nie środowisko własnego pokolenia literackiego. Wszystkie pozycje prozatorskie osnute są na wątkach autobiograficznych bądź też obejmują dzieje antenatów poety. Spadek po przodkach, jakim są postępowe treści kultury szlacheckiej, okazuje się najsilniejszym czynnikiem w urabianiu świadomości artystycznej. Ten świat szlachecko-mieszczański odszedł na zawsze, ale zobowiązał swego dziedzica do zaświadczenia o jego obecności, zwłaszcza o tych faktach, realiach, epizodach, które uszły uwagi historyków, pamiętnikarzy, autorów powieści historycznych. Pisarz wychodzi z założenia, zresztą jak najbardziej słusznego, iż oddając należytą część protoplastom, tym samym dajemy wyraz człowieczeństwu i człowiekowi jako istocie historycznej, wpisując się własnym ogniwem w łańcuch dziejów.

Motyw ocalenia jest zatem leitmotivem dzieła Chróścielewskiego. W powieści „Aurelian, albo zjazd koleżeński", w jednym z licznych komentarzy odautorskich, znajdujemy ważne wyznanie na temat celów swej twórczości: „Gdy przestałem być poetą diabelnie młodym, zacząłem sobie raptem uzmysławiać, że jednym z zadań literatury, w tym i poezji, jest utrwalenie obrazem rzeczy i zjawisk, które dziś są, a jutro może ich nie być i nikt już nikomu o nich więcej nie powie. Zacząłem też sobie uzmysławiać, że wiersz bez obrazu, obraz bez barwy, obraz i barwa bez bogatego i rzadkiego słownika są... funta kłaków warte. Wiem, że dopiero za moimi plecami z tych przedmiotowych obrazów, barw i poszukiwań słownikowych młodzi poeci i krytycy. Wiem, bo tak musi być, gdyż jest to imperatyw nieuniknionego". To stara, dobra szkoła wytrawnych mistrzów pióra. I właśnie, co najpierw uderza czytelnika książek Chróścielewskiego, to szata stylistyczno-językowa, niezwykle oryginalna, pozwalająca już po kilku przeczytanych wersach rozpoznać, kto jest ich autorem. Kontynuacja w tej sferze tradycji to też ocalenie. W pierwszym jednak rzędzie ów motyw należy odnieść do spraw problemowych, a nie formalnych.

Autor „Laski Matuzalema" szczególny akcent kładzie na kwestie związane z więzią społeczną, a mówiąc szerzej — z problemami kształtowania się wspólnoty ludzkiej. Rodzina jest podstawowym elementem więzi społecznej. Biblijny Matuzalem to symbol trwałości ponadhistorycznej rodziny, która pełni również rolę „arki przymierza między dawnymi a nowymi laty". Cała dotychczasowa proza Chróścielewskiego układa się w sagę rodu poety, bowiem akcja powieści rozgrywa się na przestrzeni blisko stu pięćdziesięciu lat, przez które przewija się kilka pokoleń, zarówno po mieczu, jak i po kądzieli. Wybór takiego tematu równoznaczny jest wyborowi określonej tradycji kulturalnej, jako że ród Jednorożców (herb rodowy) uosabiał postępowe tradycje kulturalne. I tak na przykład dziad poety, kpt. Albert Chróścielewski, był uczestnikiem powstania styczniowego, ojciec natomiast, inżynier — konstruktor mostów, spełnia patriotyczny obowiązek rzetelną pracą. Niezależnie od wykształcenia i rodzaju wykonywanej pracy, wszyscy bohaterowie są nosicielami określonych wartości moralnych i społeczno-obyczajowych. Kultywacja więzi familijnych daje zatem poczucie jedności nie tylko z osobami najbliższymi, ale także z ideałami, przerastającymi życie jednostki ludzkiej, ideałami tworzącymi wspólnotę historyczną.

Rodzina nie jest jedynym środowiskiem, w którym tworzą się zasadnicze zręby duchowej wspólnoty. Innymi jeszcze miejscami „bratania się dusz" są szkoła i małe miasteczko. Tym też należy tłumaczyć owo specyficzne zainteresowanie poety tematyką regionalną, którego inspiracją nie są oczywiście li tylko pastelowe kolory polskiej prowincji. To właśnie w niewielkim skupisku ludnościowym najwyraźniej polaryzują się postawy ludzkie, a co za tym idzie, zasadnicze uczucia: miłości, nienawiści, przyjaźni itp. Więź międzyludzka jest tam o wiele silniejsza i istotniejsza, aniżeli w wielkich metropoliach. Stąd autentyzm opisu wynika z autentycznej egzystencji duchowej. Człowiek prowincji jest szczególnie bliski pisarzowi, jego sylwetka psychiczna indywidualizuje się poprzez bezpośredni kontakt z drugim człowiekiem (nie znano wówczas środków masowego przekazu!), dzięki możliwości bezpośredniego przeżywania świata, kontemplacji przyrody, przeżywania przeszłości. Stąd i swojski klimat prozy tej i poezji.

Z każdej karty Chróścielewskiego emanuje wewnętrzne ciepło staropolskiej gawędy, której urok polega już na samym sposobie wypowiedzi, pełnej kunsztownych określeń, zróżnicowanej intonacji, inkrustowanej rzadkim i bogatym słownictwem, nasyconej humorem i równomiernie rozłożoną ironią, nawet wówczas gdy przedmiotem opisu stają się świętości narodowe i obyczajowe. Bogata wiedza humanistyczna pisarza ma niewątpliwy wpływ na tonację emocjonalną utworów, w których brak krańcowych uczuć, zarówno bezkrytycznej afirmacji, jak i nihilizmu, ale też — tu zarzut — brak i dynamicznego dramatyzowania sytuacji. Poeta jest stoikiem w masce Dionizosa. Z benedyktyńską cierpliwością pracuje nad uzupełnieniem brakujących kształtów muzy Klio, nie spuszczając ani na moment oka z wdzięków Kaliope i nie zapominając również o zaletach umysłu Ateny.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Ani mit ani rzeczywistość

TEATR

...ani **„Mitologizacje"**, ponieważ w spektaklu o tym tytule nie ma „wprowadzania pierwiastków mitycznych" do określonej rzeczywistości. Powiadam w spektaklu, albowiem tekst trzech sienkiewiczowskich opowiadań posiada tę cechę, której, niestety, zabrakło w teatralnej wersji. Wobec tego dorosły widz w Teatrze **ARLEKIN** oczekuje na propozycje formalne. W części pierwszej spotyka się z kulturą starożytnego Egiptu. W „Sądzie Ozyrysa" zastosowano animację malowideł i posążków egipskich. Ich koloryt i charakterystyczna profilowa forma w sposób niezwykły emanują czystością i przejrzystością obrazu. Gestyka jest znakomicie wyważona, jej rysunek precyzyjnie zakomponowany. Łódzcy aktorzy posiadają pewne doświadczenia w operowaniu tak zaprojektowanymi „kukłami". Są wraz z nimi na scenie, ale ukryci; poruszają je, ale nie dokumentują swojej wszechobecności.

Część druga, „Wyrok Zeusa" przenosi widza do starożytnej Grecji. Umieszczony w tle ekran z panoramą Aten za pomocą tylnej projekcji objawia widzowi tętniące życiem podnóża Akropolu. Sylwetki ludzi są jakby zdjęte z greckich waz i malowideł, posiadają ten sam kształt i intensywność barwy. Następnie reżyser wprowadza posążki Apolla i Hermesa, bardziej neoklasyczne niż peryklejskie. Jednolitość poetyki obrazu scenicznego załamuje się przy zastosowaniu zróżnicowanej techniki i środków wyrazu aktorskiego. Przykładem może tu być postać Eryfili i Zeusa.

Część trzecia, „Co się raz stało w Sydonie", utrzymana jest w realiach fenickich, ale tylko z punktu widzenia treści, albowiem brak tu, tak charakterystycznych w części pierwszej, elementów formalnych wyrażonych w scenografii. Brakuje w całym spektaklu określonej stylistyki, jednorodnej konwencji, której przedstawienie byłoby podporządkowane. Rozumiem, że już sam tekst stwarza pewną determinantę, jako że jest niejednolity stylistycznie, pierwsze opowiadanie stanowi przypowiastkę filozoficzną, drugie anegdotę dla towarzyskiej rozrywki, trzecie bajkę z „tysiąca i jednej nocy". I to zróżnicowanie reżyser uwypuklił w narracji werbalnej, natomiast w działaniu i scenografii brakuje zarówno cech określonej poetyki, jak

i spójności artystycznej. A więc, jako się rzekło, słowo stanowi w spektaklu element dominujący, ono opowiada, posuwa akcję, komentuje i pointuje. A przecież w drugiej i trzeciej części przy zastosowaniu innej techniki i innych środków wyrazu można by było słowo zastąpić gestem i ruchem metaforycznym. A tak to ani mit, ani rzeczywistość... ani mitologizacje.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

„Mitologizacje" wg Henryka Sienkiewicza dla teatru lalek opracował i inscenizował Henryk Ryl, reż. Henryk Ryl, scenografia: Wacław Kondek, muzyka: Jerzy Bauer, premiera w Teatrze Arlekin dn. 7. X. 1974 r.

Zdjęcia wykonali: MIECZYSŁAW GRYGLAS i JERZY POKRANT

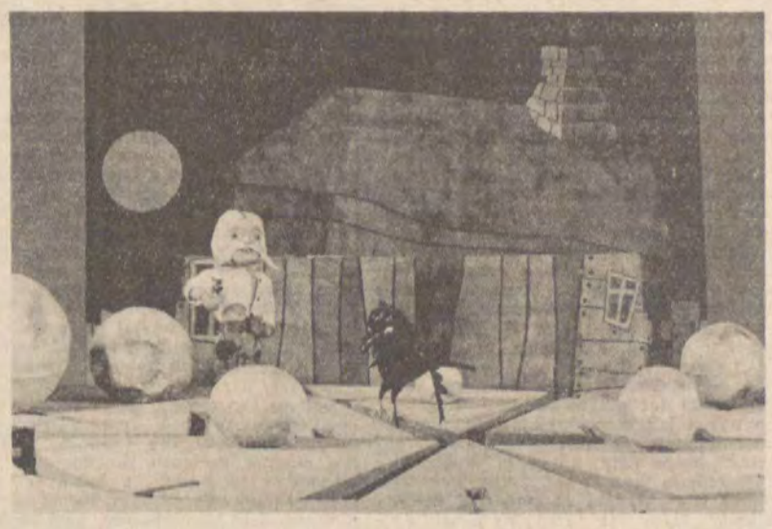

PUSTA ŁAWKA

Dalszy ciąg ze str. 6

tajemnicą, że nie mamy w drużynie dobrych napastników.

Czy to coś wyjaśnia? Tak. Są to niewątpliwie argumenty, nad którymi nie można spokojnie przejść do porządku. Ale też nie są to argumenty nowe. Okazuje się, że nic nowego pod słońcem. Sięgnęłam oto do własnego artykułu z 1971 roku i znalazłam następujące stwierdzenie:

„Wygrany mecz — to przede wszystkim bramki strzelone przeciwnikom. Ale kto ma je strzelać, skoro z atakiem ŁKS można sobie łatwo poradzić. Najlepszego strzelca, Jerzego Sadka, zwykle pilnują przeciwnicy".

Zmieniło się więc tyle, że nie ma najlepszego strzelca, bo Jerzy Sadek nie gra w ŁKS. Kto go zastąpił?

— W bieżącym roku — powiedział mi wiceprezes ŁKS do spraw piłki nożnej, Stanisław Franiak — **najbardziej zaniedbaliśmy szkolenie taktyczne i szybkość. Zawodnikom nie brakowało kondycji, ale to nie wystarczyło. Nie udały się nam zimowe przygotowania do sezonu. Obóz w Bułgarii okazał się niewypałem. Było tak samo zimno jak u nas i nie było właściwej bazy treningowej. Byli też przypadkowi, nieodpowiedni partnerzy do sparringów.**

— Zło polega na tym — mówi dalej Paweł Kowalski — **że nie ma zastępców, nie ma odpowiednich ludzi, że te przysłowiowe ławki rezerwowych są puste. A jeśli niekiedy ktoś na nich siedzi, to nie tacy zawodnicy, jakich chcielibyśmy mieć w rezerwie.**

Tu muszę znów sięgnąć do „Odgłosów" z 1971 roku.

„Potrzeba dopływu nowych graczy — powiedział wówczas trener ŁKS, Józef Walczak — **bo nie wystarczy tylko jedenastu zgranych zawodników. Drużyna musi też posiadać dobrze przygotowaną rezerwę. A to nie takie proste".**

Józefa Walczaka — podobnie jak Jerzego Sadka — nie ma już w ŁKS. Zmienili się trenerzy, ale sytuacja pozostała taka sama. Ławka rezerwowych nadal jest pusta. I nawet nie można powiedzieć, że historia lubi się powtarzać. Historia się nie zmieniła, choć to brzmi jak bluźnierstwo wobec dialektyki.

— Moja ocena kryzysu jest taka — powiedział mi wiceprezes Stanisław Franiak. — **Przespaliśmy pierwszą połowę tego roku. W rundzie jesiennej sezonu 1972—1973 mieliśmy wygodną szóstą pozycję i to nas wszystkich uspokoiło. Zawodnikom i szkoleniowcom wydało się, że rundę wiosenną można będzie przespacerować.**

— Jesienią mieliśmy mocne szóste miejsce — twierdzi Paweł Kowalski. — **Pięć poprzedzających nas drużyn miało taką przewagę, że nie mogliśmy myśleć o zdobyciu mistrzostwa Polski. Mogliśmy ewentualnie myśleć o wicemistrzostwie. Ale zawodnicy nie potraktowali szóstego miejsca drużyny mobilizująco. Nie uwierzyli w siebie, w to, że mogą pokusić się o dalszy stopniowy awans w tabeli. I dlatego w meczach, jakie rozegraliśmy wiosną tego roku nie było widać tego, czego wymagałem od zawodników, tego, co kibice przyzwyczaili się oglądać na boisku. Zawodnicy sześć, siedem razy potraktowali ulgowo, byli zbyt pewni siebie, pewni pozycji drużyny.**

I to zemściło się na jedenastce ŁKS. A zemściło się w myśl zasady minimalizmu. Uważny obserwator życia — a sport jest przecież też częścią naszego życia społecznego — łatwo spostrzeże, że ludzie osiągają wtedy najlepsze i największe sukcesy, kiedy stawia się im ambitne, wysokie zadania, kiedy budzi się w nich wiarę w siebe, kiedy zadania te spełniają też rolę m o b i l i z u j ą c ą. Stara to prawda, że najwięcej szkody wyrządza pewność siebie, że łatwo dostaje się zawrotu głowy od sukcesów. A przecież ŁKS nie odnosił tak znów wielkich sukcesów. Po prostu centralne położenie w tabeli dawało drużynie s p ó k ó j. Nic nie może być gorszego dla sportowca, jak rezygnacja z walki, jak odrzucenie ambicji. Jest to początek klęski, przyznanie się do sportowej i moralnej emerytury.

Mam nadzieję, że piłkarze ŁKS błędu tego już nie powtórzą. Teraz mają konkretny i m o b i l i z u j ą c y cel: utrzymać się w I lidze i stopniowo, szczebel po szczeblu piąć się do góry. Nie będzie to łatwe. Zdajemy sobie z tego wszyscy sprawę. Ale jest to w pełni osiągalne.

Wszystkie rozmowy, jakie prowadziłam na temat obecnej sytuacji, tchnęły optymizmem. Wierzą w poprawę sytuacji drużyny jej kibice, wierzą sami zawodnicy, wierzą szkoleniowcy, wierzą działacze sportowi. Czy ten optymizm jest uzasadniony?

Fakty mówią, że tak. Po przegranym meczu z Wisłą zorganizowano obóz szkoleniowy w Spale. Rozpoczęto intensywny trening. Wprawdzie jeszcze w meczu z poznańskim Lechem drużyna ŁKS, mimo znacznie lepszej gry, nie potrafiła wywalczyć sobie zwycięstwa, ale już w Łodzi w meczu z Górnikiem Zabrze zdobyła upragnione punkty. Kibice w 15-tysięcznej gromadzie, oglądający w strugach deszczu pojedynek z zabrską jedenastką, mogli odetchnąć spokojniej, mogli być już zadowoleni. Ważne jest i to, że w tym meczu żaden z zawodników ŁKS nie nabawił się kontuzji, a to niewątpliwy rezultat rzetelnej pracy w Spale. Przełamanie fatalnej passy wpłynie też i na postawę samych zawodników. Potrzeba im jeszcze dwu, trzech wygranych pojedynków, aby znów mogli uwierzyć w siebie. Bądźmy jednak realistami i pamiętajmy, że mogą też zdarzyć się jeszcze i porażki. Ale niech nikogo nie załamują. Los drużyny w jej rękach.

To wszystko jednak nie zmienia postaci rzeczy, nie zwalnia nas od szukania odpowiedzi na postawione wcześniej pytania. Pytanie: **dlaczego w drużynie ŁKS tak często zdarzają się sytuacje kryzysowe?** — pozostaje nadal aktualne. Jak też pytanie: **dlaczego ławka rezerwowych jest nadal pusta?**

Na te pytanie postaram się odpowiedzieć za tydzień.

BOGDA MADEJ

TADEUSZ PAPIER

JOHN SZUKA DROGI

(Fragment większej całości)

Wujek John napisał do nas ostatnio dwa listy. Pierwszy otrzymaliśmy w maju, a drugi teraz, we wrześniu. W pierwszym pisał: „Droga i miła Rodzino! A specjalnie moja ulubiona korespondentka Heluńciu, która mi dała swoje przyrzeczenie, że będzie do mnie często pisać. Pocieszyła też mnie, że podała mój adres Marcie, z czego się też bardzo ucieszyłem, że teraz będę otrzymywał dużo wiadomości z kraju mego urodzenia, od rodziny, do której tęsknię, a specjalnie od sióstr, to jest Zosi i Józi. Niemniej też i od ciebie, Heluńciu. Niestety, nie mogę się jakoś doczekać upragnionych wiadomości". Odpisaliśmy w jakiś czas na ten list, zawiadomiliśmy Martę, bratową Johna, zaalarmowaliśmy także ciotkę na Grabdzie. Z Grabdy i od nas wyszły do Johna dwa listy, w których zapraszaliśmy go do odwiedzin. Nie bardzo zresztą wierzyliśmy w skutek naszych próśb, przecież John ma ponad osiemdziesiąt lat, a jednak stosunkowo dość szybko odpisał, że przyjedzie do kraju. Ubodło nas trochę, że John napisał o tym na Grabdę, odpowiadając na list Maryni, oni przecież zaczęli z nim korespondować dopiero po naszych upomnieniach, ale Melania powiedziała: „Czegóż chcecie. Tam także ma siostrę. A Marynia, potrafi się przymilać. Musiała mu dobrze w liście nasmarować". Helenka napisała więc, żeby przyjeżdżał i kiedy już organizowaliśmy wyjazd na lotnisko, a ojciec Maryni, Poldek, nawet znajomą służbę lotniczą przygotował na powitanie Johna, ten napisał: „Droga i Miluchna Heluchno! Podaję ci do wiadomości, że ostatnią kartkę od Ciebie otrzymałem, za co ci też składam serdeczne dzięki. Moja wizyta do Polski i do rodziny została odłożona z powodu, że córka Wikcia miała jechać ze mną, ale miała operację oka i stan jej zdrowia nie pozwolił na podróż. Córka Wikcia bardzo pragnie zwiedzenia kraju jej rodziców i rodziny, która jeszcze żyje. Szczegółowy opis jej operacji ona opisała po angielsku, który przesłałem Maryni Poldkowej, co też przypuszczam, że on już zawiadomił całą rodzinę o naszej wizycie do was. Teraz Moja Miluchno podam ci w kilku słowach, jakiego apetytu dodałaś mnie w ostatniem twem liście, podając mój adres Marcie, że ona też pragnie coś do mnie napisać, ni i jakoś do dziś dnia nie mogę swego apetytu zadowolnić czekaniem, a przecież Marta, o ile jeszcze nie wyszła powtórnie za mąż, to należy do naszej rodziny. Jest to, kochana, rodzinny apetyt tęsknoty za krajem swego urodzenia i całej przy życiu jeszcze rodziny. Czego też jest dowodem kilku listów od was otrzymanych, które często powtarzam czytać. Na zakończenie serdecznie was pozdrawiamy włączając miluchne całusiki dla całej waszej rodziny, szczery wam Jan". No tak, wujek podpisuje się w listach „Jan", ale trzeba do niego adresować „John" i Melania inaczej go nie nazywa tylko John. „Ten haban John — powiada Melania — więcej niż czterdzieści lat przebywa poza krajem, a patrzcie, jak zachował ojczystą mowę. Czasami myli się, pisze, że „powtarza czytać" nasze listy, ale poza drobnymi uchybieniami wyraża się, jakby wczoraj opuścił wieś. A taki na przykład wnuk Skorupy kilka lat temu wyjechał do Ameryki, a dzisiaj udaje, że nie zna polskiej mowy. Boże święty, jak on kaleczy język, trzech słów nie potrafi zgrodzić. A u naszego Johna wszystko płynie jak w naszej rzeczce, słowa u niego pluszczą jak rybki w wodzie, jedno nie przeszkadza drugiemu". Rzeczywiście John ładnie pisze, chyba to powoduje ten „apetyt" za krajem rodzinnym. Kiedyś napisaliśmy do niego kilka słów na temat jego pięknego języka, a on odpisał: „Jestem wprost zdumiony za komplement dla mej polszczyzny, której nie uczyłem się w szkole, tylko cepami w stodole, i to jeszcze na obczyźnie, do której w dużej mierze dołączało się prześladowanie mnie jako Polaka". Zmartwiliśmy się chorobą najstarszej córki Johna, Wiktorii, chcieliśmy bardzo, aby przyjechali do kraju, spotkali się z rodziną. Oby tylko zdążył, zanim zdrowie odmówi mi posłuszeństwa. Albowiem pisał: „Teraz podaję wam mój stan zdrowia, które na starość odmawia swego posłuszeństwa, to jest wzrok, słuch, nogi też, a ręce także dają znać o sobie, że są zmęczone. A mimo tego wszystkiego ogarnia mnie jakieś dziwne podniecenie zobaczenia się z wami". Zmartwiła go choroba sióstr, Zofii i Józi (nazywamy Józię „grabdzianą ciotką", jako że mieszka na Grabdzie). W każdym liście daje wskazówki, jak się leczyć. Na reumatyzm Józi zalecał kąpiele słoneczne i ziołowe, a przede wszystkim kąpiel z kory dębowej i słodu. Wierzył zwłaszcza w działanie dębu. Zalecał zbieranie kory z młodych gałązek, dobrze utłuczoną korę trzeba (według Johna) umieścić w woreczku, w drugim tyleż słodu, oba woreczki włożyć do dużego garnka z wodą i gotować to wszystko razem przez trzy godziny, potem wlać wywar do cebrzyka napełnionego ciepłą wodą i moczyć nogi. Aby utrzymać stałą wysoką temperaturę należy co pewien czas dolewać wrzącej wody. Oczywiście polecał zioła, jak goryczkę, łopuch, jałowiec. Miał też lekarstwo na cukrzycę Zofii, współczuł jej w każdym liście, pisał, aby jadła kapustę, szpinak, jabłka, marchew, maliny, głóg. „Używaj tego jak najwięcej, to na pewno przyniesie ci ulgę. A pij także herbatę z siemienia lnianego i liści czarnych jagód. W naszych lasach — pisał — jest mnóstwo tych jagód, one mają w sobie zdrowie, pamiętaj, Zosiunciuniu, o sobie, jesteś młodsza ode mnie, nie wolno ci chorować". „Dobre ma serce, haban, ale zapomniał, że czasy się zmieniły. Teraz w naszej wsi jest szpital i lekarz i jego Zosiunciunia nie potrzebuje zamorskich rad". Melania była zazdrosna o swoją sławę lekarki. Uważała, że ona najlepiej zna się na chorobach i leczeniu. Rzeczywiście dawniej na strychu w jej chałupie wisiały całe pęki zasuszonych ziół. I nawet teraz, kiedy jest u córki w Krakowie, kiedy przyjedzie na wieś, chodzi do lasu, zbiera rozmaite zielska, suszy je, wiąże w pęki i przywozi do Krakowa. Podobno niejednemu sąsiadowi ulżyła w cierpieniu. „Pamiętam — powiada Melania — kiedy ten John był jeszcze mały, a to było wścibskie dziecko, wkręcił się tam, gdzie nawet mysz nie chciała wchodzić (wtedy nie byliśmy jeszcze spokrewnieni, John dopiero wtedy wszedł do naszej rodziny, kiedyś ty, habanie, ożenił się ze swoją Heluńcią), skaleczył się w nogę, rana się zaognila, wyrósł mu pod pachą wielki guz. Nie można było znaleźć rady na to paskudztwo. Nawet stary Abram nie pomógł, choć znał się na leczeniu. Była we wsi kobieta, o której powiadano, że wszystkiemu da radę. Matka Johna poszła do niej, zaniosła jej jajek, masła, baba rozżarzyła na piecu węgle drzewne, rozebrała Johna do samej koszuli, odciągnęła mu potem koszulę od brzucha, nabierała węgiel na szufelkę i wsypywała za koszulę, ale tak, aby chłopaka nie poparzyć. John darł się w niebogłosy, więcej od strachu niż od bólu, wołał: „Babko, spolicie mnie, spolicie", a babka go uspokajała: „Nie bój się, Jasinku, tylko trzy razy ci przesypiemy, to dymnica się przelęknie i ucieknie". Mruczała przy tym jakąś swoją modlitwę. Pamiętałam kiedyś te słowa, ale dzisiaj już zapomniałam. I co powiecie, po tym zabiegu John poczuł się lepiej, wyglądało na to, że od tego strachu czy darcia zgrubienie zmalało i znikło, a rany na nodze się zagoiły". „Dzisiaj się z tego śmiejemy — mówi Melania — ale dawniej ludzie święcie wierzyli w te głupstwa. Pamiętam, jak byłam jeszcze panną, bolała mnie nieraz głowa, a matusia brali szklankę wody, wrzucali do niej dziewięć kawałków chleba i dziewięć węgielków drzewnych, żarzących się jeszcze. Jeżeli chleb utonął w wodzie, to znaczyło, że urok rzucił jakiś chłop, a jeśli węgielek, to kobieta. Trzeba było trzy razy umaczać palec w tej wodzie i oblizać, wymówić przy tym słowa: „na psa urok". A potem obcierano twarz spodniami lub spódnicą". Melania chętnie powraca do dawnych lat, wspomina je nawet z pewnym rozrzewnieniem, ale w tym rozrzewnieniu nie ma żalu za tym, co odeszło, jest natomiast jakaś nuta zastanowienia i osądu. A może porównania tamtego czasu z dzisiejszym, bo przecież jej młodość i Johna upływała w zupełnie innym świecie. Tak różnym, że opis wydaje się niewiarygodnym albo naiwnym. Historie takie, że pożyczano ogień od sąsiadów, nie były znowu takie niezwyczajne. Albo, że masło brało się tylko do okrasy strawy, bo reszta szła na sprzedaż, jak i jaja, sery. Melania sobie przypomina, że w domu Johna, choć przecież nie było nadzwyczajnej biedy, to ich matka, aby dzieci nie podjadały masła, czyniła z niego podłużną bryłę i końcem łyżki robiła na niej karby. John w dzieciństwie musiał nieraz niemało się natrudzić, aby się zręcznie podkopać pod owe karby i ukraść kawałek masła. Matka krzyczała, że za masło musi wiele różnych rzeczy do domu kupić. „A ja, krzyczał John, pasę krowy, nasze i cudze, i za to dajecie mi suchy chleb?" „Kiedy JOHN miał lat szesnaście, albo siedemnaście — opowiada Melania — wyjechał do Ameryki. Tak samo jak Aleksander i mój Ludwik. Ludwik wrócił do kraju, ale Aleksander i John zostali. Obydwaj mieli ciężkie życie. Najedli się dosyć upokorzenia, zanim się czegoś dochrapali. Trzeba powiedzieć, że umieli pracować, nic więc dziwnego, że ich dzieci dzisiaj mają niezły chleb. Aleksander zdążył jeszcze przed śmiercią odwiedzić kraj. Zobaczył się ze wszystkimi siostrami i braćmi. Paradnie przyjechał, miał własny wóz, jak jaki przedwojenny hrabia, wszyscy dziwili się, że z Aleksandra zrobił się taki wielki dziedzic. Nie trzeba się znowu tak bardzo dziwić, bo Aleksander przyjechał do Polski w roku czterdziestym siódmym, kiedy u nas jeszcze nie wszystkie pola były rozminowane, a miasta leżały w gruzach. Tak jak nasze miasteczko. No dzisiaj Aleksander nie budziłby już takiej sensacji". John także był po wojnie w kraju swego urodzenia (jak się ładnie wypowiada), było to chyba w rok lub dwa lata po wizycie Aleksandra. Byłem już z nim spokrewniony przez żonę, dla której John był wujkiem. To rzecz zrozumiała, że John był wzruszony, witał się ze wszystkimi i ściskał ze łzami, brał do ręki ziemię, rozcierał ją na dłoni, całował. Ale trzeba powiedzieć, że John był inny niż Aleksander. Może Melania, jako siostra Aleksandra, jest stronnicza, powiadając, że Aleksander to człowiek-dusza, wszystko widać na jego twarzy, nic nie ukryje, tymczasem John, choć płacze, czy się śmieje, to człowiek odnosi wrażenie, że ten płacz nie jest pełnym płaczem i śmiech nie do końca wypowiada jego radość. „Przypominacie sobie — powiada Melania — jaki ten haban był ostrożny? Jak wolniutko cedził słowa? Jak się wszystkiemu pilnie przypatrywał? Oglądał każdą rzecz jak kogut znalezione ziarno. Jak nie chciał nic pochwalić? Może on nie jest taki, na jego się podawał, bo ostatnie listy mówią coś więcej o nim, ale trzeba przyznać, że zostawił po sobie nie takie wrażenie jak Aleksander. Rodzina się cieszyła jego odwiedzinami i on się radował ale do końca nie można się było z nim porozumieć. „Może mu tam do łba nakładli różnych rzeczy i nie mógł się od tego uwolnić? — pyta Melania. — Miał u nas przebywać dwa miesiące, a już po miesiącu odjechał. Tak bardzo mu się zresztą nie dziwię, nie wiem co się wtedy działo, ale był jakiś niespokój na świecie, ludzie mówili o nowej wojnie, John się przestraszył, zapakował walizki i odjechał". A teraz pisze i to tak pisze, że człowiekowi chce się płakać nad nim. Widać, że bardzo tęskni do nas Jednak ta pierwsza wizyta uczyniła swoje. John przeżył ją głęboko. Wszyscy go przyjmowali z sercem. Pamiętam, że wyszedłem po Johna na stację, przyjechał sam, pociągiem, nie znałem go, a jednakże dość łatwo odszukałem w tłumie podróżnych dość wysokiego, chudego mężczyznę, który rozglądał się niepewnie wokoło. Podszedłem do niego i przedstawiłem się. Ucałowaliśmy się, nie nie mogłem znaleźć taksówki, więc przyjechaliśmy tramwajem. Już wtedy zadziwiła mnie piękna, wyszukana niemal forma wypowiedzi Johna. A przede wszystkim swoboda, z jaką prowadził rozmowę. Czasami brakowało mu pewnych słów, wdzięcznie je zastępował angielskimi, nawet akcent, narzucony przez angielszczyznę, miał swój urok. Bardzo mu się podobał Ryszard, wówczas jeszcze student. Kiedy dowiedział się, że studiuje chemię, wykrzyknął: „O, mój syn jest chemikiem też. To ładnie". U Poldka znowu zawojowała go Marynia, brał ją na kolana, gładził włosy, mówił do niej „moja wnunia", bo rzeczywiście Marynia jest jego cioteczną wnuczką. „Zobaczymy — powiada Melania — jak się zachowa dzisiaj ten haban, kiedy przyjedzie i zobaczy Marynię. Jaka panna się z niej zrobiła, a jaka mądra. Tym razem stary już się nie będzie maskował. Wiecie co — zastanawia się Melania — dlaczego on tak wypytuje się o Martę? Znał ją przecież tylko z fotografii". Pytanie jest raczej retoryczne, mąż Marty był bratem Johna. Zginął we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Nic dziwnego, że John wypytuje się o Martę, która dla niego stała się symbolem kobiety polskiej, dzielnej, wdowy po żołnierzu, która mimo różnych przeciwności losowych, potrafiła wykształcić swoje dzieci. To są sprawy, których niby nie trzeba nikomu tłumaczyć, należą one do powszedniego dnia naszego życia, ale przecież zawsze robią wrażenie. Tym bardziej na Johnie, który wyjeżdżał z kraju z obrazem takich właśnie kobiet. Chcielibyśmy wszyscy pomóc Johnowi, zaspokoić jego tęsknotę, albo jak on mówi, apetyt za krajem swego urodzenia. Oczekujemy jego przyjazdu. W ostatnim liście wysłałem do niego fotografię wąwozu, który jest za naszym domem, właściwie za domem jego siostry. Wąwóz jest zalesiony, nazywamy go Dołami. Znaleźliśmy zdjęcie Johna w tym wąwozie. Jest to, to samo miejsce, gdzie zrobiłem sobie fotografię z żoną i Melanią zaraz po moim ślubie. John stoi pośrodku wąwozu, opiera się o laskę, a nieco z boku, nad nim wisi szeroka akacja. Drzewo rośnie na zboczu, ale jego korona pochyla się nad wąwozem i tworzy nad nim zielony dach. Niektóre korzenie są na wierzchu, wrosły w glinkowatą ziemię, podpierają akację. Melania mówiła kiedyś, że na świecie nie może być piękniejszego miejsca. To samo powtórzył wtedy John. Nie wiem dlaczego nie daliśmy Johnowi tego zdjęcia, kiedy był w Polsce. Widocznie zawieruszyło się gdzieś między innymi. Teraz posyłamy mu fotografię jego akacji, wąwozu, który przypomni mu jego lata dziecinne. Niechże to zdjęcie będzie kroplą osłody w jego trudnej tęsknocie.

ZBIGNIEW DOMINIAK

DEBIUTY

NARODZINY KRZYŻA SAMORODNEGO

Drzewo na krzyż wyrasta z ziarna
Nie z wiary
Kilkuletniemu przydaje się przeznaczenie
I czeka
Niższe gałęzie zbyteczne są wcześniej
Wyższe rosną
Dwie upatruje się na ramiona krzyża
Symetryczne
Pozbawia się pozostałych skraca wierzchołek
Ścina drzewo
Teraz wystarczy przygwoździć człowieka
Albo ptaka
Wybiera się pisklę małomówne
Cierpliwe
Niech urasta na miarę krzyża
Milcząc

* * *

Człowiek z natury istota arytmiczna
Ulega rytmowi kropli wody Rytm
Był na początku Podyktował oddech
Teraz czeka kiedy się zbuntują

Jeszcze kusi stukotem głosek o papier

Mój sprzeciw będzie musiał być
Zdecydowany Nie powtórzę się Zawieszę
Gest Wydech odejmę wdechowi Następstwo
Czasów zastąpię odstępstwem od reguł
Wyobraźnia szczęścia mówią o harmonii
Rytmie i symetrii To nasi rodzice
Dwoje płodzi człowieka Jeden wystarczy
By zabić

MARIA WARDZICHOWSKA

* * *

Ciało moje rządzi się samo
gdzieś w świecie
zagubione wśród gęstych uliczek
ugrzęzło w mule dnia

A śmierć łasi się do stóp
lęgnie się przy nich
i zaciska pętlą miasto
aż kiedyś pękną światła i wyleją się
poza mury
Wybieram się z nią na przechadzkę
a ona obca mi
mijam drzew sędziwość – przy nich ludzie
jednodniowe ważki
a śmierć obca mi
jak trafić do wnętrza jej
kiedy żywica pachnie najwspanialej rankiem
gdy z nocy wybuchł las
i przeciągają się drzewa w bursztynie

Szukam śmierci mojego początku
a ciało rządzi się samo
obce pełne życia
w tym ruchu ziemskim tym cieniu
w tym świetle tak mi obcym
i tak mało jasnym

* * *

Idę sobie do siebie
podskakuję na czerwonej bocianiej nodze
płyty chodnika ze strachu
przed dziobem buta
uciekają w tył
wychodząc wciąż na spotkanie

Dokąd ja sobie tak idę
podrywając ziemię do góry
ściągając niebo w dół
aż się złączą w mej głowie
na huśtawkę światu

Nogi rozochocone
ciało opuściły
zostały na drodze
a teraz wpadają na drzewa i chmury
pląsają bose
całkiem bez głowy

OSIĄGNIĘCIA NASZYCH PRZYJACIÓŁ w CSRS

Otwarta 11 bm. w Pradze w Parku Fuczika wystawa gospodarcza „30 lat socjalistyczej Polski" cieszy się niesłabnącym powodzeniem. Ogromny napływ zwiedzających zmusił organizatorów do przedłużenia okresu trwania ekspozycji jeszcze o kilka dni. Wizytujący wystawę goście mają pełne możliwości zapoznania się z osiągnięciami naszej ekonomiki, nauki i kultury. Tłumom zwiedzającym towarzyszą dziesiątki organizowanych sympozjów i spotkań z wybitnymi specjalistami, naukowcami, działaczami gospodarczymi i państwowymi. Otwiera to nowe możliwości w rozwijaniu i pogłębianiu współpracy i handlu przed obu partnerami. A partner to niebagatelny — od wielu lat CSRS zajmuje trzecie miejsce w obrotach handlowych Polski. Wysokość przeprowadzanych transakcji w ostatnim trzyleciu przekroczyła o 30 procent poziom wartości zakładanej w długoletniej umowie do roku 1975. Potencjał ekonomiczny naszego południowego sąsiada stale wzrasta i rozwija się.

Produkcja przemysłowa w pierwszym półroczu 1974 roku wzrosła o 6,2 procent w porównaniu z analogicznym okresem roku poprzedniego. W kluczowych gałęziach przemysłu osiągnięto wyniki kształtujące się powyżej przeciętnej: w przemyśle maszynowym o 9 procent, w przemyśle chemicznym i przerobie ropy naftowej o 7,5 procent, w przemyśle gumowym o 6,6 procent i wreszcie w przemyśle materiałów budowlanych o 7,1 procent.

Sama produkcja budowlana wzrosła o 7,3 procent w stosunku do założeń planowych — 6,3 procent. Pomyślnie kontynuowana była budowa szeregu ważnych obiektów inwestycyjnych. Od początku aktualnego planu pięcioletniego (1. I. 1971) do końca czerwca br. oddane zostały do użytku środki trwałe wartości 300 miliardów koron. Przekazano między innymi obiekty pierwszej linii tranzytowego rurociągu gazowego, dalej — urządzenia kopalniane o wydajności 6 milionów ton węgla brunatnego i 3,5 miliona ton węgla kamiennego rocznie, liczne obiekty energetyczne o łącznej zainstalowanej mocy prawie 1500 megawatów oraz szereg innych inwestycji.

Nie pozostało również w tyle budownictwo mieszkaniowe. W wymienionym okresie oddano do użytku blisko 340 tysięcy mieszkań, co wynosi niemal tyle, ile ukończono ich w całej trzeciej pięciolatce.

Poważnie rozwinęło się także rolnictwo CSRS. Dzięki zwiększeniu intensyfikacji upraw i nawożenia, pełniejszej mechanizacji robót polowych i wydatnemu rozwinięciu hodowli, plan produkcji skupu produktów rolnych znacznie przekroczono. W stosunku do pierwszego półrocza 1973 roku nastąpił wzrost dostaw mięsa o 40 tysięcy ton, mleka o 98 milionów litrów a jaj o 99 milionów sztuk.

Osiągnięcie takich wyników w gospodarce narodowej możliwe było między innymi dzięki znacznemu podniesieniu wydajności pracy. Wzrosła ona w przemyśle o 5,4 procent (plan 4,8 proc.) i w budownictwie zgodnie z założeniami planu o 5,5 procent. Jak wiele uwagi poświęca się w CSRS podniesieniu wydajności pracy, jaką rangę nadaje się temu zagadnieniu i jakie są tego efekty, świadczy najlepiej fakt, iż aż 87,1 procent przyrostu produkcji w przemyśle oraz 76,7 procent w budownictwie osiągnięto właśnie tą drogą. Umożliwiło to również wykonanie, a nawet przekroczenie w niektórych wskaźnikach planowanych zadań w handlu zagranicznym, zarówno w obrotach z krajami socjalistycznymi jak i kapitalistycznymi. Ogółem eksport wzrósł o 20,4 procent.

Dzięki tak prowadzonej polityce ekonomicznej podnosił się znacznie poziom życiowy ludności CSRS. Przeciętne dochody ludności wzrosły o 4,9 procent, a obroty detaliczne głównych systemów handlowych zwiększyły się o 7,6 procent. O ile dla całej obecnej pięciolatki jako zadanie postawiono zwiększenie dochodu narodowego o 28 procent to zgodnie z wstępnymi ocenami wyników, w roku bieżącym będzie on wyższy już o 22—24 procent od poziomu osiągniętego w roku 1970. A zatem wszystko wskazuje na to, że podstawowe wskaźniki planu gospodarczego zostaną nie tylko wykonane ale i poważnie przekroczone.

Dobre wyniki w gospodarce narodowej CSRS w I półroczu bieżącego roku osiągnięto dzięki systematycznej modernizacji i racjonalizacji produkcji, inicjatywie i wysiłkowi ludzi pracy i dzięki dalszemu pogłębianiu współpracy CSRS z państwami Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

Osiągnięte wyniki nawiązują do pomyślnego w poprzednich trzech latach wykonania planu, dając realną nadzieję, że także tegoroczny plan zostanie pomyślnie spełniony. Stwarza to dobre podstawy startu do ostatniego roku pięciolatki i dalszej przyszłości.

(Pragopress)

Oprac. J. J.

Sytuacja w Etiopii jest nadal napięta. Tymczasowy Komitet Administracyjny stanął w obliczu problemów bardzo trudnych do rozwiązania. Tragiczna sytuacja gospodarcza spowodowana rządami b. cesarza, niemal powszechny analfabetyzm, przerażający głód, wrogie wypady zwolenników starego reżimu, w tym destrukcyjne akcje Kościoła, nabrzmiałe problemy socjalne i wiele innych wymagają szybkich i konkretnych decyzji.

ETIOPIA

TRZECI ETAP REWOLUCJI

Komitet cieszy się poparciem najszerszych mas społecznych i dysponuje siłą militarną, niemniej droga wiodąca do likwidacji feudalnej, socjalno-ekonomicznej struktury w kraju jest bardzo trudna. Jednakże dokonując rewolucji wojskowi wykazali już wtedy zadziwiającą zręczność i dalekowzroczność, stopniowo izolując cesarza i ograniczając jego władzę. „Rewolucja ubrana w mundury koloru khaki — pisze korespondent największego tunezyjskiego tygodnika „Jeune Afrique" — stopniowo i nieuchronnie ogarnęła najbardziej starożytne imperium na terytorium Afryki. Jeszcze rok, a nawet sześć miesięcy temu, odejście cesarza pogrążyłoby kraj w goryczy i bólu. Ale 12 września 1974 roku Addis-Abeba — stolica i jedyne wielkie miasto w Etiopii — nie wyraziła szczegółowo niepokoju i zakłopotania kiedy Koordynacyjny Komitet Sił Zbrojnych — obecnie Tymczasowy Wojskowy Komitet Administracyjny — składający się z przedstawicieli armii, policji i wojsk terytorialnych złożył niewiarygodne wprost oświadczenie: cesarz Haile Selassie po 44 latach panowania został odsunięty od władzy.

Pierwszy etap rewolucji nastąpił w lutym 1974 roku i zakończył się obaleniem rządu Etiopii na czele z premierem Akilu Habte Uolda. W końcu kwietnia drugi atak: starzy ministrowie, dworacy, wyżsi urzędnicy — zostali aresztowani i oskarżeni o korupcję. W lipcu tempo rewolucji nabiera rozmachu — mnożą się aresztowania wśród działaczy państwowych. Cel jest jasny: ewentualną kontrrewolucję pozbawić przywódców i izolować cesarza. Taka taktyka wydaje owoce: Haile Selassie i z obojętnością pozwala aresztować jednego po drugim swoich najbliższych współpracowników i nieomal namawia ich do oddania się w ręce sztabu IV dywizji. Ichlos mało go interesuje. Mimo tych wydarzeń wciąż utrzymuje pozory władzy.

Wykryte fakty niesłychanej korupcji, sprzedajności, bezwzględności byłego rządu wobec ludności przygotowały naród Etiopii do obalenia swego idola. Kilka dni później ogólny szacunek wobec cesarza ustąpił miejsca obojętności, a nawet wrogości. Nie można tłumaczyć tak nieoczekiwanego zwrotu świadomości mas wyłącznie taktyką wojskowych. W rzeczywistości w przeciągu wielu lat Etiopia nosiła w sobie rewolucję socjalną. Haile Selassie miał lekceważący stosunek do rządzenia krajem, do jego ekonomicznych i socjalnych problemów. Budżet powinien być zrównoważony — to jedyne, czego żądał monarcha. Cesarzowi nigdy nie przyszło do głowy, że należy przeprowadzić gruntowne reformy. Jedynym jego aktem w tej dziedzinie była ustawa o zniesieniu niewolnictwa w 1923 roku, a i to wydana w celu zneutralizowania głosów sprzeciwiających się przyjęciu Etiopii do Ligi Narodów. Wieloletnia praktyka dyplomatyczna cesarza umocniła go w przekonaniu, iż klucza do rozwiązywania wewnętrznych problemów kraju należy szukać przede wszystkim za granicą. Zrzucony z tronu przez Mussoliniego, Haile Selassie stał się dla Afryki żywym symbolem antyfaszyzmu i niepodległości. Dlatego też w czarnych dniach lata 1940 roku, kiedy Anglicy, znajdując się w tym czasie w trudnej sytuacji, zaczęli szukać we wschodniej Afryce łatwych zwycięstw w walkach z Włochami chętnie posługiwali się „dyplomatycznym i politycznym atutem" — Haile Selassie, który znów wstąpił na swój tron i niebawem całkowicie odzyskał cesarską władzę.

Odnowę swego starożytnego państwa urzeczywistniał cesarz tylko powierzchownie. W sprawozdaniu Etiopskiego Banku Handlowego ze stycznia 1974 roku odnotowano, iż „z ogólnej liczby 26 milionów ludności, 23 miliony stanowią chłopi-biedniacy, którzy wegetują w najcięższych warunkach. Izolowani, nie zorganizowani, analfabeci — są pozostawieni swej wiekowej nędzy bez jakiejkolwiek pomocy państwa. Wielcy obszarnicy ziemscy, spekulując nadwyżkami ziemskimi, budują sobie w miastach wille i domy dochodowe, podkreślając swym bogactwem nędzę narodu".

Opłata za dzierżawienie ziemi w Etiopii osiągnęła niesłychaną cenę w porównaniu z innymi krajami Afryki. Na przykład w prowincji Szoa, w centrum cesarstwa, połowa dzierżawców musiała oddawać właścicielom ziemskim 65 proc. plonów. W listopadzie 1961 roku w oficjalnym oświadczeniu poświęconym problemom agrarnym cesarz powiedział, że „troską rządu jest zapewnienie każdemu mieszkańcowi kraju przydziału ziemi". Utworzono nawet Ministerstwo Reform Rolnych, które miało przygotować projekt ustawy o opłatach dzierżawnych. Pojawiło się mnóstwo komisji badawczych, ale nie podjęto ani jednej konkretnej decyzji. W przeciągu trzydziestu lat działki ziemskie otrzymało zaledwie 5.400 chłopów. Tymczasem byli współpracownicy cesarza, policjanci, wojskowi, urzędnicy i dworacy przywłaszczyli sobie ogromne posiadłości.

Zależność chłopów od właścicieli ziemskich jest całkowita. Miejscowa administracja zawsze działa, ręka w rękę, z obszarnikami, a Kościół, który posiada trzecią część ziemi uprawnej w kraju, jest ich najwierniejszym sojusznikiem. Haile Selassie nigdy nie zamierza zburzyć tej piramidy, na której szczycie znajdował się sam i — w niczym nie uszczuplając przywilejów wybrańców ludu — zamykał oczy na szalejącą w kraju korupcję. Tylko armia i uniwersytet w pewnym stopniu uniknęły wpływu tego zalewającego kraj konserwatyzmu. Dzięki zagranicznej pomocy — pisze dalej korespondent „Jeune Afrique" — Haile Selassie stworzył jedną z najsilniejszych armii w Afryce. Jej poziom kulturalny jest o wiele wyższy od ogólnego poziomu ludności, wszyscy żołnierze etiopscy umieją czytać i pisać.

Swego czasu, żeby otworzyć współczesny uniwersytet w Addis-Abebie, Haile Selassie musiał przełamać twardy opór wszechmocnego Kościoła, który zmonopolizował w swym reku sferę oświaty i wykształcenia. Wkrótce zresztą uniwersytet stał się niebezpiecznym dla cesarza ośrodkiem opozycji.

Popierani przez uczniów starszych klas licealnych studenci uniwersytetu w Addis-Abebie, mimo represji, występowali każdego roku z żądaniem reform agrarnych i rewizji konstytucji. Niektóre z tych żądań zostały włączone do 24-punktowego programu, który wojsko przedłożyło cesarzowi w lutym 1974 roku.

Straszliwa susza w 1972 roku zwróciła oczy całego świata na Etiopię: ONZ włączyła ją do liczby 25 najbiedniejszych krajów świata. Susza zrujnowała ponad 2 miliony chłopów, opustoszały setki wsi, wyginęło bydło. Głód ogarnął cały kraj. Szczególnie ciężko dotknął on północne prowincje kraju. Rząd robił wszystko, żeby tylko ukryć całą powagę sytuacji. Administracja przejawiała nieprawdopodobną niezaradność, podczas gdy wielcy posiadacze ziemscy otwarcie wykorzystywali kleskę głodu do zgarniania zysków. W okolicach Desie chłopi, odganiani przez ludzi wielmożów, umierali z głodu dosłownie kilka metrów od spichrzów pękających od ziarna. Korupcja nie miała granic. Administrator portu Dżibuti poświadczył, iż Etiopia „reeksportowała blisko 2 milionv ton kukurydzy i pszenicy przez Dżibuti, które bvły przeznaczone na pomoc dla głodującej ludności". Między lutym a majem tego roku z okręgu Assab, którego ludność cierpiała straszliwy głód, skierowano około 10.000 ton ziarna do północnego Jemenu. Ten łańcuch skandalicznych wydarzeń wzburzył etiopskie koła wojskowe, a głównie słuchaczy wojskowej szkoły lotnictwa w mieście Debra-Zeite, 50 km od Addis Abeby. W każde święto stary cesarz przyjeżdżał tutaj na odpoczynek czarnym mercedesem. Za orszakiem podążało auto ciężarowe, z którego biedocie wiejskiej, oblegającej od świtu drogę przejazdu monarchy, rozdawano chleb.

Miejsce odsuniętego od władzy cesarza zajął nie jeden człowiek, lecz cały komitet. Do Tymczasowego Wojskowego Komitetu Administracyjnego wchodzi pięćdziesięciu wojskowych wyższych i średnich stopni w wieku do lat 40. Ciężkie następstwa rządów cesarza zmuszają nowe kierownictwo do szybkiego podejmowania decyzji. O ile Koordynacyjny Komitet Sił Zbrojnych musiał wykazywać cierpliwość, dokonując przewrotu państwowego ciągnącego się prawie siedem miesięcy, o tyle dziś przed Tymczasowym Wojskowym Komitetem Administracyjnym stoją problemy wymagające natychmiastowych rozwiązań. Kasa państwowa jest pusta. Pracownicy niektórych urzędów już od dwóch miesięcy nie otrzymują poborów. Nie lepsza sytuacja jest na wsi: urodzaj będzie gorszy niż w latach ubiegłych, a w szeregu rejonów kraju, w zimie 1973/74, zjedzono całe zapasy ziarna siewnego. Drugim palącym problemem jest uregulowanie kwestii erytrejskiej. Od 1969 roku armia etiopska głęboko ugrzęzła w wojnie, która ciężkim brzemieniem legła na wycieńczonym do cna budżecie państwowym. Jeden z członków Komitetu, gen. Andom, z pochodzenia Erytrejczyk, ma szanse na znalezienie kompromisowego rozstrzygnięcia tego skomplikowanego problemu z Frontem Wyzwolenia Erytrei. Tymczasowy Komitet, być może, przyzna Erytrei wewnętrzną autonomię w ramach federalnej Etiopii. Ale czy zadowoli to Erytrejczyków?

Jeśli Komitet okaże dążenie do likwidacji feudalizmu i absolutystycznej przeszłości kraju, będzie musiał przyjąć bardzo elastyczną taktykę gdy na porządku dziennym stanie kwestia określenia przyszłego reżimu politycznego. Wszak monarchia nie została obalona, a następca tronu, książę Asfa Wosen, powołany na stanowisko głowy państwa, jest ciężko chory i przebywa za granicą. Złożono oświadczenie o mających się odbyć wyborach demokratycznych, ale nie mówi się ani słowa o utworzeniu partii politycznych. Część inteligencji jest zaniepokojona tą ciszą. Głucho także na temat oddzielenia Kościoła od państwa, które przewiduje projekt konstytucji, opracowany w sierpniu 1974 roku. Kościół ma jeszcze nadzieję na zachowanie swej potęgi".

Jak widać z tej pobieżnej oceny svtuacji w Etiopii, Tymczasowy Wojskowy Komitet Administracyjny działa w warunkach dużych napięć socjalnych i politycznych.

JERZY CZECH

× KONSULTACJE EUROPEJSKICH PARTII
× ŚWIATOWA SYTUACJA ŻYWNOŚCIOWA

Z inicjatywy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej oraz Włoskiej Partii Komunistycznej przez trzy dni toczyły się w Warszawie obrady spotkania konsultatywnego partii komunistycznych i robotniczych Europy.

W wyniku szerokiej dyskusji uzgodniono, że **nie później niż w połowie przyszłego roku powinna się odbyć europejska konferencja**, poświęcona walce o pokój, bezpieczeństwo, współpracę i postęp społeczny w Europie. Wyrażono życzenie, aby konferencja odbyła się w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Postanowiono także, iż spotkanie przygotowawcze bratnich partii zbierze się w grudniu br. lub w styczniu roku przyszłego.

Komunikat końcowy podkreśla, że **„uczestnicy spotkania dali wyraz swojemu zadowoleniu z atmosfery demokratyzmu i braterskiej współpracy, w jakiej toczyły się obrady w oparciu o zasadę równych praw, poszanowania poglądów wszystkich partii i dążenia do osiągnięcia wspólnego stanowiska. Podkreślili oni wolę przygotowania i przeprowadzenia konferencji w duchu tych zasad".**

Otwierając spotkanie konsultatywne, w którym wzięły udział delegacje 28 partii komunistycznych i robotniczych Europy, Edward Gierek podkreślił, iż **PZPR opowiada się za potrzebą zwołania takiej konferencji, ponieważ dojrzały po temu warunki.**

Od poprzedniej konferencji — w 1967 roku w Karlowych Varach — sytuacja na naszym kontynencie zmieniła się w sposób zasadniczy. Wtedy problemem było uznanie politycznego status quo w Europie i nienaruszalności granic, które ukształtowały się po II wojnie światowej. W podstawowej deklaracji tamtej konferencji jeszcze postulatem były: uznanie granic i uznanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Dziś wszystko to jest w sferze niekwestionowanych faktów. Na kontynencie, który dwukrotnie stał się powodem wojen światowych, odprężenie jest najbardziej zaawansowane.

Dowodem tego jest drugi już etap Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, która — co więcej — w niedługim czasie powinna być uwieńczona pierwszym w historii spotkaniem na szczycie i ważkimi decyzjami. Jeszcze przed siedmiu laty był to zaledwie postulat. Dziś, **w wyniku pokojowej ofensywy krajów socjalistycznych, a przede wszystkim Zw'ązku Radzieckiego, jest to polityczny fakt.** Można go uznać za miarę sukcesu krajów naszej wspólnoty.

Polityczna mapa Europy jest zresztą różna od tej, którą zarejestrują historycy w roku 1967. Innymi barwami trzeba dziś oznaczyć np. Portugalię i Grecję.

Zmiany, które nastąpiły, nie powinny jednak zadowalać. **Proces pokojowego współistnienia nie ogranicza się do akceptacji stanu bezwojennego.** Wymaga on aktywnych działań — szeroko rozumianej współpracy. Chodzi tu zarówno o korzystną dla wszystkich wymianę towarową, naukową, kulturalną, jak i wspólne rozwiązywanie problemów przed jakimi staje ludzkość. Rewolucja naukowo-techniczna, ochrona naturalnego środowiska człowieka — to tylko przykłady, wskazujące na potrzebę wspólnego działania. W tych kwestiach niezbędny jest kolektywny wysiłek narodów. **Proces odprężenia musimy więc uczynić trwałym i nieodwracalnym.** Nie jest to bowiem koniunkturalne działanie, lecz wymóg naszych czasów.

Europa ma po temu wszystkie przesłanki, aby świecić przykładem, dać wzór, jak mogą rozwijać się stosunki między państwami. W tym, szerokim kontekście, może spełnić swą dziejową misję przyszłoroczna konferencja europejskich partii komunistycznych i robotniczych. I właśnie ta myśl przyświecała delegacjom, które zebrały się w Warszawie na spotkanie konsultatywne.

Spotkanie to odbywało się w czasie, kiedy współczesne stosunki międzynarodowe cechuje wzrastający wpływ postępowych sił społecznych. Nigdy jeszcze komuniści nie mieli tak szerokiego poparcia mas i tak wpływowych sojuszników.

Pozostawiając inne wydarzenia tygodnia, zwróćmy w kolejności uwagę **na światową sytuację żywnościową.** Asumpt po temu daje obszerne sprawozdanie Sekretariatu Organizacji d/s Wyżywienia i Rolnictwa (FAO), właśnie opublikowane.

Jego myślą przewodnią jest stwierdzenie, że **sytuacja pogarsza się** i tegoroczna produkcja będzie niższa niż w latach poprzednich. Szacuje się, że np. zapasy pszenicy będą niższe niż w latach pięćdziesiątych. Nie stwarza to optymistycznej prognozy dla ok. 400 mln ludzi na kuli ziemskiej, którzy cierpią głód. Inaczej mówiąc wzrost produkcji rolnej nie nadąża za wzrostem ludności. Przeprowadzone przez FAO badania w 72 krajach wykazują, że w 24 nie osiągnięto żadnego wzrostu produkcji. Prognozy na najbliższe dwa lata nie są korzystne. Zanosi się więc na światowy kryzys żywnościowy.

Te złożone problemy będą w dniach 4—16 listopada tematem obrad światowej konferencji żywnościowej, która zbiera się w Rzymie. Przypomnijmy, że została ona poprzedzona konferencją w Bukareszcie, na której omawiano problemy żywnościowe. Prognoza demograficzna wymaga, aby podjęto kompleksowe działania, które wyeliminują groźbę nie wyżywienia ludności świata. Oczywiście najbardziej zagrożone są kraje południowo-wschodniej Azji oraz części Afryki. Niestety — rozwiązaniu tego problemu nie sprzyja również aura, która dokuczyła obszernym rejonom wieloletnią suszą.

WITOLD SŁAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?!

WAŃKOWICZ

Z chwilą Jego śmierci trudno się oprzeć wrażeniu, że Melchior Wańkowicz zaplanował i wykonał do ostatniego punktu swoje życie i swoje pisarstwo. Zaczynał od egzaltowanych artykułów jeszcze w czasie zaborów — zakończył swe dzieło w sposób przeraźliwie świadomy „Karafką La Fontaine'a". Drugi tom tej książki ukaże się już po śmierci pisarza. A jest to suma jego doświadczeń i przemyśleń na temat literatury, warsztatu, świadomości pisarskiej. Na podobną książkę, zawierającą taki ładunek myślowy, trzeba w literaturze długo czekać.

Na parę miesięcy przed śmiercią Melchior Wańkowicz oświadczył, że „Karafka La Fontaine'a" kończy pracę literacką, że tym dziełem wypełnił do końca swoje pisarskie działanie. Mimo to wciąż pracował, pisma pełne były jego publikacji. W roku jego śmierci ukazała się monumentalna praca „Wojna i pióro", zawierająca niemal wszystko, co na temat człowieka i wojny powiedziano i co powiedzieć można.

W wieku 82 lat zmarł ostatni przedstawiciel szlacheckiej tradycji, który z pełną świadomością łączył stare literackie tradycje z nowymi prądami w polskim piśmiennictwie. Czynił to ze zrozumieniem dziejowych przemian, jakie dokonały się w Polsce i na świecie. Był fenomenem pracowitości i rzetelności pisarskiej — z Jego książek powstać może wielotomowa biblioteka, a wszystkie mają w sobie walory encyklopedycznej ścisłości. Był pisarzem literatury faktu, choć sam nazywał siebie skromnie reporterem.

Sam mówił o swoim pisarstwie: „Uprawiam pisarskie zielarstwo. Zbieram żywokost, rumianek, chodzę o świcie po rosie, jeszcze przy księżycu. To są moje farby, kolory, zapachy. To rzeczy zewu krwi, pożywienia, tradycji". I mówił jeszcze: „Pisarz musi szukać najżyźniejszego gruntu". Szukał tego gruntu po całym świecie, ale zawsze znajdował polski grunt. Mówił zawsze: „Polska leży w orbicie kultury zachodniej, ale ma położenie geopolityczne wschodnie".

W roku 1956 podjął decyzję. „Przyjechałem do Polski (...) nie uprzedzając nikogo, nawet rodziny. Chciałem przywitać się z Polską bez pośredników. Natychmiast wyruszyłem kajakiem po Wiernej Rzece i Nidzie, nocowałem po wiejskich szkołach (...)".

Całe życie pisał jedną książkę, którą można nazwać „Polską Panoramą". Jego książek nie można traktować oddzielnie — jest to jedno dzieło, wielostronne i wielowarstwowe. Geograficznie — „Opierzona rewolucja" — wschód, „Sztafeta" — środek, „Na tropach Smętka" — zachód... I dalej wojna — „Westerplatte", „Wrzesień żagwiący", „Hubalczycy", „Monte Cassino" — jedna ogromna książka. I jeszcze wewnętrzna strona „Panoramy" — „Szczenięce lata", „Ziele na kraterze", „Tędy i owędy".

Nie wiadomo, ile stron ma ta monumentalna książka życia Melchiora Wańkowicza. Wiadomo tylko, że wydano ją w łącznym nakładzie około dwóch milionów egzemplarzy. Nakład godny dzieła — i wciąż na Jego książki — czekają wierni czytelnicy.

Melchior Wańkowicz — reporter, postać i dzieło w historii polskiego piśmiennictwa. Zmarł 10 września 1974 roku w Warszawie.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

PARADOKSY

Na łamach „Zeszytów Politycznych", podziemnego pisma teoretycznego francuskiego ruchu oporu, ukazał się w kwietniu 1944 r. znamienny artykuł, zatytułowany: **„Z powodu pewnej, zbyt mało znanej książki"**. Autorem tej publikacji był jeden z najwybitniejszych historyków francuskich tamtych czasów, mediewista o światowym rozgłosie, twórca nowego kierunku badań historii gospodarczej Marc Bloch, wówczas już czynny działacz „Résistance". Chodziło w niej o książkę generała Chauvineau, dawnego wykładowcy w Wyższej Szkole Wojennej, wydaną w 1939 r. i wznowioną w następnym, a noszącą tytuł: **„Czy inwazja jest możliwa?"**, elaborat, w którym szeroko rozwodzono się o doskonałości francuskiej doktryny militarnej i niezawodności linii Maginota. Książkę tę poprzedził przedmową sam Ph. Pétain, jeden z ojców duchowych tych koncepcji: w warunkach 1944 r. przypomnienie dywagacji szefa kolaboracyjnego rządu z Vichy, uwydatnienie absurdalności całej doktryny, stanowiło demaskatorską publicystykę polityczną. **„W przygotowywaniu procesu sprawców wielkiej narodowej zdrady** — pisał pod koniec swego artykułu M. Bloch — **książka gen. Chauvineau stanowi od dziś dokument pierwszorzędnej wagi"**.

Publicystyczne wystąpienie M. Blocha przypomniało mi się przy lekturze książki **KAZIMIERY MAZUROWEJ „Europejska polityka Francji 1038—1939"**, wydanej przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (1974), książki jeszcze świeżej, która zapewne w najbliższych dniach znajdzie się i w łódzkich księgarniach. Z nazwiskiem autorki spotykaliśmy się często na łamach „Polityki" i „Miesięcznika Literackiego", gdzie w ciągu ostatnich kilku lat zamieściła ona cykl wywiadów z czołowymi postaciami francuskiego życia politycznego z lat trzydziestych, poczynając od przywódców lewicy (J. Duclos), a kończąc na działaczach obozu rządzącego i wyższych dowódcach wojskowych.

K. Mazurowa przypomina, że licznym manifestacjom przyjaźni francusko-polskiej od połowy 1939 roku (po słynnej majowej mowie J. Becka) towarzyszyły nasilające się objawy niechęci do „umierania za Gdańsk" (formułą tą wsławił się M. Déat), że w ówczesnych dyskusjach wciąż powracała sprawa kształtu przyszłej wojny oraz pytanie, w jakiej mierze Francja jest do niej przygotowana. W wypowiedziach i dyskusjach padło wiele słów rozsądnych, majoryzował je jednak doktrynalny schemat, mianowicie pogląd, że linia Maginota jest przeszkodą nie do pokonania, stanowi barierę, na której załamie się pancerna ofensywa armii hitlerowskiej. A zatem za osłoną linii Maginota, poza tą cudowną kurtyną bezpieczeństwa, można żyć spokojnie, można spędzać wakacje na Lazurowym Wybrzeżu, słuchać ulubionych piosenkarzy.

„Ogromnym powodzeniem — pisze K. Mazurowa — **cieszył się szlagier: „Tout va très bien, Madame la Marquise"; „wszystko idzie świetnie, pani markizo"**.

Polska autorka podaje w swej książce interesujące zestawienie: otóż przed wybuchem II wojny światowej generalicja francuska stanowiła zespół ludzi nadzwyczaj zaawansowanych wiekiem, żyjących wyobrażeniami przeszłości, co się tyczy nowych problemów wojskowych. Marszałkowie Ph. Pétain i L. Franchet d'Esperey liczyli sobie tylko po 83 lata, wśród generałów przeważali ludzie koło 70 lat, a w każdym razie grubo po 60-ce, by wspomnieć M. Gamelin'a (67 lat), M. Weygand'a (72 lata) czy innych, byli zresztą i starsi, jak E. Castelnau, liczący sobie lat 88. Uważany także i przez dzisiejszych historyków za „młodego" gen. Ch. Huntziger miał lat zaledwie 59. W ogóle generałowie w wieku lat 55—60 „uważani byli za młodych", zupełnie tak samo, jak u nas dziś profesorowie uniwersytetów. Podobnie kształtował się wiek czołowych działaczy politycznych.

Czy taki osobliwy stan rzeczy miał swoje znaczenie dla sprawy przygotowania Francji do wojny? Niewątpliwie. W badaniach historycznych ujawniono przerażające zjawisko oporu, niechęci w stosunku do każdej nowej myśli wojskowej, takiej, która naruszała raz przyjęte schematy. Jest bardzo znamienne, że nowatorskie w swoim czasie idee, sformułowane przez ówczesnego pułkownika Ch. de Gaulle'a, dotyczące tworzenia dywizji pancernych mogących podejmować działania operacyjne (1934), były podobnie jak inne prace teoretyczne z tego zakresu poważnie studiowane w ZSRR, Stanach Zjednoczonych, a przede wszystkim w Niemczech. We Francji zaś mało kto w ogóle o nich wiedział, a najmniej już kompetentni dygniatarze wojskowi, kurczowo trzymający się koncepcji używania czołgów jedynie jako wsparcia dla działań piechoty. Francuski attaché wojskowy w Berlinie stwierdził wręcz, że członkowie delegacji wyższych oficerów, z szefem sztabu lotnictwa na czele, którzy w 1938 r. bawili w oficjalnej misji w Niemczech, w ogóle nie znali żadnych publikacji de Gaulle'a, zaś sam attaché oraz jego zwierzchnik dowiedzieli się o nich dopiero z... prasy niemieckiej. Książka de Gaulle'a „Vers l'armée de métier" ukazała się w nakładzie 2000 egzemplarzy, z czego sprzedano zaledwie 700. Wspomniane tu na wstępie dzieło gen. Chauvineau wydano w ciągu dwóch lat dwukrotnie: konserwatywne koncepcje, w nim zawarte, poparte autorytetem Ph. Pétain'a i innych wsławionych w I wojnie dowódców bardziej widać odpowiadały czytelnikom fachowej literatury wojskowej.

Do książki K. Mazurowej wypadnie nam jeszcze nieraz powrócić. Zbyt wiele tu spraw wartych przedyskutowania, zbyt wiele nowych informacji, wydobytych z zespołów archiwalnych, do których jakże niełatwo dotrzeć historykowi. I jeszcze jedno: książka ta jest... pracą doktorską. Warto, aby przyjrzeli się jej młodzi ludzie, zastanawiający się nad doktoratami, nie zaszkodzi też, aby zaglądnęli do niej i ci, którzy tymi młodymi ludźmi kierują. Również i z łódzkiego środowiska historycznego. Książka K. Mazurowej jest bowiem zaprzeczeniem uświęconej tezy, że na doktorat należy wybierać temat możliwie łatwy, nie wymagający zbytniej znajomości zagranicznych źródeł i obcej literatury, najlepiej jakiś tam szczególik, o którym jeszcze nikt nigdy nie pisał.

LEKTOR

Przez tydzień Jerzy Binder zasiadając przed kamerami telewizji Łódź ogłaszał wszystkim, że ten właśnie numer telefonu (610-43) czynny jest od tej chwili i czynny będzie jeszcze przez godzinę po zakończeniu programu i łódzka telewizja oczekuje propozycji, uwag, a także udziału w konkursie na nazwę nowej audycji. W ubiegły piątek dowiedzieliśmy się, że nowa audycja otrzymała nazwę, a wymyśliła ją Barbara Bukowska. Od tej więc pory audycja, którą przez pierwszy tydzień prowadził Jerzy Binder będzie się nazywała „W ŚRODKU POLSKI". Jerzy Binder uczciwie poinformował telewidzów, że Łódzki Ośrodek Telewizyjny używa tej nazwy już po raz czwarty. Telewidz, oglądający systematycznie przez tydzień raczkowanie nowej audycji, mógł westchnąć rozczarowany: tyle hałasu o nic!

Tak to w ubiegłym tygodniu po 12 latach żywota umarły „ŁÓDZKIE WIADOMOŚCI DNIA", a w normalnych bólach porodowych narodziło się „W ŚRODKU POLSKI". Po raz czwarty zresztą i gdybym był przesadny powiedziałbym, że może być to płód nieudany, gdyż życie poucza nas, iż jeśli coś nie uda się trzy razy, to czwarty lepiej nie próbować. Ale łódzka telewizja zaryzykowała, wychodząc z założenia, że świat należy do odważnych. Osobiście życzę powodzenia.

Grzebiąc po 12 latach żywota ŁWD, dziennikarze telewizji poprosili o opinię o umierającym. Telewidzowie — jak to bywa w życiu — chwalili, ganili, wyrażali dezaprobatę i brak zainteresowania. Nowy twór, egzystujący jeszcze bez nazwy, a już posiadający telefon (610-43), też zaopiniowali ludzie, których poproszono o asystowanie przy narodzinach. Z nimi było podobnie, jak z tymi, których proszono o opinię o umierającym, każdy mówił o czymś innym, jednym się podobało, innym nie, a dla telewidza nic z tego nie wynikało. Być może ŁOT wyciągnął jakieś nauki, bo „asystentom" Jerzego Bindera stoliki zamieniono na fotele. Osobiście przekonałem się raz jeszcze, że z ludźmi to dziwna sprawa i nigdy im nie dogodzisz, a każdy lub prawie każdy zna się na telewizji i ma swoją własną wizję tego, co chciałby oglądać na ekranie. Podobnie zresztą, jak wszyscy znają się na prasie i wiedzą, jakie powinny być gazety. Niemniej pozwolę sobie wetknąć swoje trzy grosze do spraw telewizji, już choćby dlatego, że nikt mnie o to nie prosił, a mnie podoba się sam fakt, że ŁOT nie poprzestaje na starym i choć późno, bo późno, ale szuka czegoś nowego.

Tylko, czy magazyn lokalny „W ŚRODKU POLSKI" jest czymś nowym? Moje wątpliwości biorą się ze świadomości, że w dziennikarstwie bardzo trudno o coś nowego, bo wszystko lub prawie wszystko już było, a poza tym człowiek obraca się w określonym kręgu możliwości. I patrząc z takiego punktu widzenia można byłoby powiedzieć, że zmieniło się wnętrze studia, a mniej sama audycja. Czyż w końcu istotne jest to, czy informacje czyta sam Jerzy Binder, czy ktoś inny. A rozmówki i filmowe dokrętki też już były, więc o co nowego tu chodzi? Taka opinia byłaby krzywdząca. Obserwując uważnie narodziny „W ŚRODKU POLSKI", mogę spokojnie stwierdzić, że audycja zmieniała się z dnia na dzień, dorośląła i nabierała sił i wyrazu. Zrozumiałe, jak to bywa niestety w dziennikarstwie, że miejsce jednego schematu zajmuje drugi i trzeba — niestety — stale o tym pamiętać, aby ten drugi schemat zastępować trzecim, później czwartym i tak dalej. Ponieważ jak wiem, audycje te będą prowadzili różnie dziennikarze ŁOT, każdy po tygodniu, to każdy też wniesie jakieś cechy indywidualne do tej audycji, każdy ma szansę wzbogacenia jej o swoje własne pomysły. I tego bym życzył magazynowi „W ŚRODKU POLSKI".

Jeśli jednak można chciałbym nowy twór o starej nazwie, przestrzec przed jednym, przed tym, co jest w ogóle słabością naszej publicystyki, przed zbytnim „opisywactwem". Nasza publicystyka — a tu biję się też we własne piersi — zbyt jeszcze często jest powierzchowna, naskórkowa. Doskonale rozumiem, że magazyn informacyjny, który ma ambicje stać się magazynem publicystycznym, ale dysponuje na to tylko 20 minutami, będzie miał z tym spore trudności. Nie zwalnia to jednak od dalszych poszukiwań, od sięgania do istoty spraw prezentowanych a nie tylko do ich przedstawiania.

Po drugie — wydaje mi się — że „W ŚRODKU POLSKI" nigdy nie stanie się magazynem publicystycznym, jeśli nie zwróci uwagi na rozmowy, którymi tak często posługuje się. I to nie tylko na rozmowy przeprowadzane w plenerze, ale i w studio. Rozmowa typu „co słychać" i „jak wam leci" jest dobrą wśród znajomych, którzy nie mają sobie nic do powiedzenia. W telewizji — razi sztucznością, jest pusta. A ŁOT dysponuje obecnie znakomitym rozmówcą — Andrzejem Królikowskim, który — jak się zorientowałem z tego, co do tej pory zaprezentował — potrafi rozmawiać z ludźmi. I myślę, że warto byłoby go bardziej w takiej roli wykorzystywać, bo rozmowa z ludźmi przy mikrofonie i kamerze jest wielką sztuką, a nie wszyscy zgłębili jej tajemnice.

I mam nadzieję, że „W ŚRODKU POLSKI" domyśli się, że w Łodzi i województwie jest sporo interesujących spraw i zajmie się nimi, ale mnie najbardziej interesuje, co też ludzie powiedzieli, kiedy dzwonili pod numer 610-43? Jaka była reakcja telewidzów? Czego chcą od nowej audycji?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

LEWYM OKIEM

LIST Z PROWINCJI

Pośród gęsto rozstawionych stolików, pomiędzy setkami męskich i damskich nóg, wałęsa się wielkie, białe kocisko. Na obiad dziś kurczak w potrawce, a jadalnia w naszym sanatorium wielka; coraz to ktoś spośród czterystu panów i pań schyla się pod stół, przyzywa kota i częstuje go kostkami — aby natychmiast wyprostować się z obrażoną miną: kot nie raczył nawet powąchać kostek, zaproponowanych mu przecież z czystej sympatii!

Kto by takiego kota nie znienawidził? Chcemy dla niego dobrze, a on podnosi pionowo ogon, mruczy i ma gdzieś. Natychmiast więc sypią się głosy do kelnerek: zabierzcie to wstrętne kocisko, odbiera nam apetyt, co za porządki! Nastrój się udziela, ktoś znalazł już źle wytarty widelec, ktoś inny plamę na obrusie. Co za porządki! Dlaczego pani podaje na tamten stolik, kiedy my tu czekamy? Dlaczego solniczki puste?

Mogę sobie wyobrazić mękę tego kota, który lubi mięciutkie kostki, nie co dzień mu się trafiają, a tu nagle nie może im dać rady! Jak ogryźć kości z czterystu kurcząt? Ręce — przepraszam — wszystkie cztery łapy opadają, rozpacz ogarnia, zapachy siadają na wąskach, na oczy — czy też na ślepia, wszystko jedno, zachodzi biel. Zabierzcie tego kota! On szydzi z naszych dobrych serduszek! Wynoś się wredna kreaturo!

Psa nikt by na takie próby nie wystawiał, wobec psów jesteśmy dżentelmenami, a nie dobroczyńcami wzruszonymi własną litością. Kiedyś, w dzieciństwie, pod naszymi drzwiami zostawił żebrak kupę przylepek i kromek chleba, między nimi także tę kromkę, którą przed chwilą otrzymał od nas. Prosił o kawałek chleba, a ludzie rozumieli go zbyt dosłownie, a może też chcieli zbyt tanim kosztem uczynić zadość swej potrzebie dobroci? Tych przylepek nie było czterysta, było może czterdzieści. Co miał z nimi zrobić żebrak? Gołębie karmić? W każdym razie nigdy już nie miał prawa pokazać się na naszych schodach, był spalony, mówiło się o nim najgorsze rzeczy.

Okazuje się zatem, że dobroć — kategoria uczuciowa irracjonalna — też musi być uzupełniona rozumieniem, czyli pojęciem z kategorii intelektualnych. Rozumiem cię, biały kocurze. Wyniosę cię za drzwi bez złości i bez złości dam klapsa na pożegnanie, żebyś się nie pchał między nas i nie przeszkadzał żmudnemu procesowi trawienia.

Po obiedzie rozchodzimy się na przechadzkę, chociaż deszcz siąpi, pusto na świecie i brzydko: październik. W parku leje się z drzew na głowę. Można w tę i z powrotem szosą. Można do miasteczka, chociaż nie wiem, czy oprócz mnie trafia ktoś jeszcze na uliczkę zapomnianą, opuszczoną, zachwaszczoną. W październikowym deszczu uliczka jest pusta do kwadratu i brzydka do sześcianu. Rozwalone puszki ze śmieciami. Szczerbate parkany. Zamknięte drzwi wszystkich sieni, składów nie wiadomo czego, budyneczków niemieszkalnych, trudnych do rozszyfrowania. A na tych drzwiach, parkanach i płotach ktoś co kilka kroków wypisał kredą wymowne matematyczne równanie: MK + JS = LOVE. No i macie — jest najprawdziwsza, rzewna, liryczna poezja! Love — to przecież miłość! Miłość w języku angielskim, bo po angielsku śpiewa się bitowe refreny, po angielsku bełkocze śpiewaczka o wielkich ustach, w miejscowej kawiarence, angielszczyznę udają dwaj zarośnięci młodzieńcy z gitarami pod wiatą autobusowego przystanku. Może jeden z nich — to właśnie MK? A ta kelnerka w kawiarni, mówiąca każdemu gościowi — dobry wieczór — czego się w dużym mieście nie usłyszy, może to właśnie panna JS i może to ona zawróciła komuś głowę tak, że chodzi i manifestuje, jak umie, tę swoją wielką miłość: kredą na parkanie?

Ale to jest śliczne i — powtarzam — pełne poezji. Gdy ktoś kiedyś będzie pisał uczoną doktorską rozprawę „O etymologii i semantyce piśmiennictwa naparkannego" — a ktoś na pewno taką rozprawę napisze — to wśród morza plugastwa, wulgaryzmów, obrzydliwości, wśród jakże monotematycznych rysunków i dwuwierszy znajdzie się i zabłyśnie jak ziarenko miki ten prosty, na zaropiałej uliczce znaleziony, algebraiczny wzór:

MK + JS = LOVE

ĆWIEK

POD KRESKĄ

Na początku historii felietonu, drukowano go pod grubą kreską, oddzielając od reszty gazety. Kreska ta służyła też do łatwiejszego odrywania felietonu i przechowywania go. Dziś felieton króluje na całych stronach czasopism, ale nie zszedł całkowicie z łam gazet codziennych. Jednym ze stałych felietenistów pisujących w gazecie jest Władysław Kopaliński. Swoje felietony drukuje na łamach „Życia Warszawy".

Oddzielając felietony kreską i drukując je u dołu strony, wydawcy gazet nie wyodrębniali ich z całości ułatwiali tylko czytelnikom odrywanie felietonów i gromadzenie ich. Felieton bowiem — w przeciwieństwie do depesz i notatek — żyje znacznie dłużej. Ta żywotność felietonu pozwala gromadzić je w zbiory. Opublikował je niedawno Hamilton, Urban, a teraz — Władysław Kopaliński.

Wielu ludziom zdaje się, że najłatwiej jest pisać felietony. Jest to złudzenie, które dla niektórych kończy się klęską. Felietony pisać jest bowiem bardzo trudno. Felietonista musi być jednocześnie na bakier z tym co się dzieje wokół niego i bardzo głęboko tkwić w rzeczywistości. Musi patrzeć na otaczająca go rzeczywistość przez pryzmat oświeconego racjonalizmu, dostrzegać to, czego inni nie widzą, podsuwać ludziom myśli i spostrzeżenia, które oni uznają za własne. Systematyczne pisanie felietonów wymaga nie tylko głębokiego rozumienia współczesności, ale wielkiej wiedzy i dużego doświadczenia. Pisać stale felietony i nie powtarzać się, to dowód, że tkwi się w rzeczywistości, że umie się dostrzegać pozornie niedostrzegalne zmiany, jakie w niej zachodzą. Felietony Władysława Kopalińskiego zebrane w tomie pt. „Western w autobusie" spełniają te wszystkie wymagania. Są dokumentem swojego czasu, dokumentem, po który być może sięgną kiedyś czytelnicy, gdy wiele innych „dzieł" zasypie już popiół zapomnienia. Ale przede wszystkim d z i ś czyta się je z wielkim zainteresowaniem.

Władysław Kopaliński — Western w autobusie, Warszawa 1974, PIW, str. 413, cena: 32,— zł.

WALKA Z CIENIEM

Walka z cieniem jest formą treningu bokserskiego, jest zaprawą, mającą przygotować zawodnika do poważnej rywalizacji. Porównanie to przyszło mi na myśl w związku z ukazaniem się książki Jonathana Millera pt. „Spór z McLuhanem". Książka ta ukazała się w znanej serii PIW — Biblioteka Myśli Współczesnej. Jest to niezwykle pożyteczna seria i każda nowa pozycja ukazująca się w niej spotyka się z dużym zainteresowaniem czytelników żywo zajmujących się problemami współczesności. Z zainteresowaniem przyjęto więc i książkę Jonathana Millera. Tym bardziej, że jest ona polemika ze słynnym apologetą współczesnej kultury, opartej na elektronicznych środkach przekazu — słowem kultury masowej.

Polemika z McLuhanem to wielka frajda dla polskiego czytelnika, stanowi bowiem wprowadzenie do sporów światowych o obecny kształt i przyszłość współczesnej kultury. I choć znajdujemy się trochę na uboczu tych zagadnień z racji innych społecznych i politycznych treści kultury, to przecież udział w rewolucji naukowo-technicznej i nas również prowadzi do zetknięcia się z wieloma problemami, jakie niesie z sobą kultura masowa, oparta na elektronicznych środkach przekazu. Aliści — jak to zauważył Piotr Wierzbicki w „Literaturze" — spór z McLuhanem jest dla nas sporem z nie istniejącym, walką z cieniem, która do niczego nie prowadzi i do niczego nie przygotowuje. A jest tak dlatego, że w Polsce nie ukazała się — jak pisze Piotr Wierzbicki — „ani jedna książka McLuhana". Otóż Piotr Wierzbicki myli się. Wprawdzie książka — jako taka nie ukazała się po polsku, ale w tejże samej Bibliotece Myśli Współczesnej, w dwutomowym zbiorze pt. „Technika, a społeczeństwo" opublikowano esej Marshalla McLuhana pt. „Środki komunikowania — przedłużenie człowieka". Esej ten pochodzi z wydanego w 1965 roku w Nowym Jorku tomu „Umderstanding Media. The Extensions of Man". A więc coś, co jest większe niż nic. Pozwala to wprawdzie w sposób cząstkowy poznać poglądy Marshalla McLuhana, ale do polemizowania z nim jeszcze za mało. Sytuacji nie ratuje interesujący wstęp do książki Millera, pióra Krzysztofa T. Teoplitza. Myślę, że PIW w swojej Bibliotece Myśli Współczesnej powinien możliwie szybko tę lukę nadrobić.

„Spór z McLuhanem" Jonathana Millera jest książką pechową. Nie dość, że jest to spór z poglądami, które czytelnik polski może poznać w szczątkowej formie, to na dodatek książka zawiera sporą ilość błędów korektorskich. Errata dołączona do książki — drukowanej we Wrocławskiej Drukarni Dziełowej we Wrocławiu — obejmuje jedynie „ważniejsze z dostrzeżonych błędów". Gratulacje!

Jonathan Miller — Spór z McLuhanem, Warszawa 1974, PIW, str. 140, cena: 20,— zł.

„TRZECIA MIŁOŚĆ"

„Trzecia miłość" to najnowsza powieść współczesnego prozaika radzieckiego Wołodimira Kisielowa. Autor urodził się w Kijowie, w roku 1922. W czasie II wojny światowej walczył pod Stalingradem. Później przez długi czas pracował jako dziennikarz. Stąd też początek jego działalności literackiej, to reportaże. Dopiero później powstały powieści dla dorosłych i młodzieży.

W „Trzeciej miłości" Kisielow przedstawia problemy nurtujące radziecką młodzież. Będzie to więc konfrontacja postaw i poglądów starego i młodego pokolenia, szukania własnego miejsca w życiu, niezgoda na gładką, bezkonfliktową mieszczańską egzystencję. Z bohaterem „Trzeciej miłości" zapoznajemy się, kiedy zdobył świadectwo dojrzałości i najważniejsza dla niego sprawa jest nowiutki motocykl. Rozstajemy się z już dojrzałym człowiekiem, który nie waha się przed ryzykownymi decyzjami, jeśli tylko mają one nadać jego życiu głębszy sens.

Kisielow opiera swoją powieść na drobiazgowo przedstawionych realiach codziennego życia współczesnego społeczeństwa radzieckiego. Jest to widoczny wpływ jego wcześniejszej praktyki dziennikarskiej.

B. M.

Wołodimir Kisielow „Trzecia miłość", przełożył W. Dąbrowski, Iskry, W-wa 1974, str. 378, cena 20 zł.

PRZEPRASZAMY

Jego Magnificencję Rektora Politechniki Łódzkiej, prof. dr Mieczysława Serwińskiego, za przykrą omyłkę w podpisie Jego wypowiedzi „Nauka — Postęp — Dobrobyt".

SPROSTOWANIE

Do artykułu Jerzego Rzymowskiego „Lord Jim" Josepha Conrada, zamieszczonego w cyklu „Lekcja literatury" („Odgłosy", nr 42), wkradły się błędy drukarskie, zniekształcające sens wywodu. Zdanie rozpoczynające siódmy akapit w drugiej szpalcie winno brzmieć: „Jak już zauważyliśmy, nie tyle kontrowersje ocen są ważne, co wnioski, które Marlow wyciąga ze sprawy Jima", natomiast w szpalcie czwartej (wiersz 11 od dołu) zamiast „autentyzmowi" winno być „automatyzmowi". Ponadto błędnie wydrukowano nazwisko bohatera „Granicy" Zofii Nałkowskiej (szpalta 1), które winno brzmieć: Zenon Ziembiewicz.

TELEWIZJA

SPRAWA OSOBOWOŚCI

Telewizja stworzyła swoisty typ psychologiczny sytuacji komunikacyjnej, który jest nieobecny (bo niemożliwy) w innych środkach masowego przekazu. Polega on na tym, że jedynie w telewizji nadawca informacji zwraca się do mnie niejako bezpośrednio chociaż przez szybę ekranu, widzę go jakgdyby siedział przede mną w fotelu i rozmawiał tylko ze mną. Oczywiście, jest to rozmowa, która polega, że powtórzę dowcip rysunkowy „Literatury", na odwróceniu znanego przysłowia o zidiociałym staruszku przemawiającym do obrazu. Jednakże ten stopień intymności odbioru jest w TV jedyną i niepowtarzalną w innych mediach konwencją kontaktu nadawcy informacji z ich odbiorcą. Z tego punktu widzenia komunikat prasowy jest bardziej bezosobowy od radiowego, ten zaś bardziej od telewizyjnego. Pomijając martwotę i schematyzm „mowy" dziennikarskiej, która płynie trzema kanałami masowej perswazji, wypada stwierdzić, że telewizja dysponuje tutaj największymi szansami propagandowego sukcesu. Uśmiech spikera z DTV jest przykładem ekspresji zastrzeżonej tylko dla małego ekranu i wzmacniającym jego działania. Odbierając go, staram się zapomnieć, że ten sympatyczny uśmiech, którym mnie obdarza lektor wiadomości z kraju i ze świata jest nie autentyczny, gdyż adresowany do wyobrażonych milionów napotyka przecież szklane oko kamery. Ten — zdawałoby się — osobisty odruch rodzi się zatem w sytuacji psychologicznie fałszywej, jest maską zaledwie i pozorem, ponieważ trudno uśmiechać się z przekonaniem do martwego przedmiotu, nawet ze świadomością, że przesyła on ten uśmiech żywemu człowiekowi.

Cóż jednak sprawia, iż mimo tego organicznego fałszu z przyjemnością spotykam się z postaciami telewizyjnej galerii: Janem Suzinem, Wicherkiem, doc. Treuguttem czy Karolem Małcużyńskim? Dotykamy w tym momencie problemu, którego swoistość pozornie tylko zawiera się w wielce bałamutnym określeniu „specyfika telewizyjna". Jednym z jej komponentów jest pojęcie telegenii, zgodnie z którym wymienione przykładowo postacie są „telegeniczne". Tymczasem pojęcie to, równolegle do kinowego zjawiska fotogenii ma sens czysto zewnętrzny i polega na nierównej podatności wizualno-estetycznej ludzkiej fizjonomii na przekaz elektroniczny. Doświadczeni operatorzy twierdzą zresztą, że nie ma twarzy fotogenicznych i niefotogenicznych, są tylko twarze dobrze i źle oświetlone. Twierdzenie to ma sens w rozsądnych granicach, bo jeżeli ktoś ma braki w uzębieniu, odstające uszy i zeza temu i słynny Figueroa nie pomoże. Tak więc osławiona fotogeniczność w ostatecznym rachunku sprowadza się jedynie do braku rażących mankamentów urody. Wydaje się zatem, że sekret towarzyskich sukcesów w telewizyjnym salonie leży w autentycznej indywidualności, która równie silnie ujawnia się w świetle reflektorów przed kamerami, jak i w życiu pozatelewizyjnym, a może i w pozagrobowym.

Jednakowoż różna jest skala tych sukcesów, a zachowania, którymi są wywołane do różnych gustów się odwołują. Marcin Czerwiński w ciekawej książce „Telewizja wobec kultury" dokonuje prowizorycznej, ale trafnej „typologii" telewizyjnych charakterów. Pierwszy typ nazywa konferansjerskim. Jest to strasznie fajny pan który co się odezwie, to chce zabawić. Pragnie on za pomocą różnych gestycznych tricków i gratisowych dowcipów sprawiać wrażenie ogromnej swobody i świetnej orientacji we wszystkim, co się dokoła niego dzieje. W sumie jest to typ irytujący, który błyszczy na różnych teleturniejach i trzeciorzędnych programach rozrywkowych.

Natomiast prawdziwa osobowość telewizyjna wyłamuje się z tego na pamięć już znanego szablonu zachowań i zasadza się na walorach znacznie głębszych. Tutaj decydujące znaczenie mają te zalety, które urzekają we wszelkich kontaktach z ciekawą indywidualnością: inteligencja, często głęboka wiedza i umiejętność jej podania, oryginalne poczucie humoru, urzekający sposób bycia, sugestywna twarz a nawet interesujący głos. Cały ten zespół walorów razem wziętych sprawia, że darzymy ich szczęśliwego właściciela mniej lub bardziej zgodną sympatią i życzliwością. Siła psychologicznej ekspresji takiej postaci z łatwością ogranicza działanie wspomnianych barier technicznych oddzielających ją od widza, a pewne predyspozycje aktorskie, które zezwalają na dyskretną swobodę dokonują ostatecznego doń zbliżenia.

Ostatnimi czasy w naszej telewizji doskonale zrozumiano tajemnicę sukcesu programów z ciekawymi ludźmi, tajemnicę, którą wprost streszcza amerykański slogan: „Telewizja jest sprawą osobowości". Eksploatowanie tej formuły odbywa się ze zmiennym szczęściem, ale najnowszy cykl programowy „Wieczór autorski" jest najciekawszym jej spełnieniem. Odbiega on zdecydowanie w koncepcji i w klimacie od atmosfery cyrku, która cechuje „Wszystko za wszystko" czy „Sam na sam", gdzie nadal jąka się antyosobowość telewizyjna czyli Janusz Rolicki, który już kilka razy nam udowodnił, że absolutnie nie potrafi tworzyć intelektualnej dramaturgii tego dialogu prezentowanego bohatera z publicznością. (Nawiasem mówiąc — wyselekcjonowane pytanie pod adresem Jerzego Hoffmana w ostatnim programie „Czym dla Pana jest widz?" uważam za swoisty rekord umysłowej indolencji jaki za łaskawym przyzwoleniem p. Rolickiego padł w tym cyklu). Natomiast „Wieczory autorskie" stwarzają atmosferę bardziej kameralną, gdzie autor przedstawia siebie w otoczeniu swoich przyjaciół i ulubionych dzieł sztuki, w intymnym świecie swoich doznań, zainteresowań i gustów.

Myślę, że te programy nie odbywają się bez pewnej szerszej celowości społecznej. Kolejne portrety telewizyjne wnoszą cenny ładunek humanizmu i formułują oryginalne wzory zachowań. Wyłania się z nich wizja życia pełnego, mądrego i twórczego.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

MUZYKA

KNIAŹ IGOR DRUGI

Linia repertuarowa Teatru Wielkiego jest wypadkową tak wielu przeróżnych tendencji, wpływów i zależności, że trudno już mówić o jakiejś konsekwentnej polityce programowej, a najbardziej odpowiednim określeniem wydaje się tu słowo: przypadkowość. Na pewno nie najlepsze świadectwo aspiracjom Teatru Wielkiego wystawia wielka ilość wznowień, stanowiąca zbyt wysoki procent przygotowywanych premier. Najpierw „odgrzewano" pozycje Opery Łódzkiej, a ostatnio Teatr Wielki, który ciągle przecież jest na repertuarowym dorobku, wznawia już także własne realizacje, przy czym ważniejsze zdają się tu być życzenia zagranicznego impresaria, niż potrzeby publiczności łódzkiej. Nie można oczywiście niczego zarzucić operze „Kniaź Igor", ale i taki np. „Borys Godunow" nie jest złą operą. Może więc byłoby pożyteczniej pokazać ludziom coś nowego niż wznawiać rzecz, która już szła 144 razy, chociaż zapewne trzeba by w to włożyć nieco więcej wysiłku.

Co oczywiście nie przeszkadza zachwycać się **„Kniaziem Igorem"** w nowej inscenizacji **Antoniego Majaka**, zrealizowanej z nie mniejszym rozmachem i przepychem, niż słynna realizacja Romana Sykały z roku 1967. Kniaź Igor Drugi nie różni się zresztą wiele od swego poprzednika, jako że i główni realizatorzy opery pozostali w większości ci sami (**Zygmunt Latoszewski** — kierownictwo muzyczne, **Marian Stańczak** — scenografia, **Witold Borkowski** — choreografia). Także reżyser **Antoni Majak** zachował wiele z pierwotnego kształtu opery — wprowadzając oczywiście pewne modyfikacje zmieniając to i owo, również zadanie chórmistrza (**Zbigniew Pawelec**) pozostało nie zmienione.

W tej sytuacji główna uwaga słuchaczy, w większości znających dobrze „Kniazia Igora", skoncentrowała się na szczegółach wykonania, a zwłaszcza na interpretacji solowych partii wokalnych. Z powodu wyjazdu do Warszawy w dniu pierwszej premiery (i recenzentowi wypadnie czasem czynnie pomuzykować) relacja moja odnosi się do drugiej premiery.

Refleksja pierwsza: prawdziwe arcydzieło i bardzo odpowiedzialne zadania mobilizują solistów w stopniu o wiele większym niż przeciętna muzyka operowa. Dzięki uczestnictwu w realizacji wielkiej sztuki wznoszą się oni ponad swój zwykły poziom. Toteż dużo dobrego śpiewu można było usłyszeć na spektaklu w dniu 6.X. Największą rewelacją była sopranistka, **Elżbieta Niziol**, w trudnej roli Jarosławny. Dźwięczny głos o pięknej barwie, piękne frazowanie, wyrazowy czysty śpiew — te walory nie dziwią nas u śpiewaczki, którą znamy od dość dawna z nielicznych występów estradowych i oratoryjnych. Dziwić natomiast może fakt, że śpiewaczka ta (nb. laureatka Międzynarodowego Konkursu Wokalnego w Hertogenbosch — Holandia) tak długo bezskutecznie starała się o przyjęcie do Teatru Wielkiego. W tym roku błąd naprawiono — i oto byliśmy świadkami jakże udanego debiutu.

W tytułowej partii Igora Światosławowicza wystąpił **Jerzy Jadczak**, bardzo dobry zwłaszcza w prologu, w którym jego silny głos bez trudu przebijał się przez masyw brzmienia chóru i orkiestry. Swój wielki dzień miał **Tomasz Fitas**, który ciągle się rozwija i z powodzeniem wystąpił w niełatwej roli Kończaka, stając także pod względem aktorskim na wysokości zadania Wybornym aktorstwem i dobrą formą wokalną błyszczał **Antoni Majak** w roli Włodzimierza Galickiego, zdumiewając iście młodzieńczym temperamentem. **Izabela Kobus** jako Kończakówna śpiewała zachwycająco. Doskonale zgraną parę dworskich muzykantów tworzyli **Stanisław Michoński** (Skula) i **Adam Duliński** (Jaroszka). Świetnie przez nich zagrane (i zaśpiewane) epizody wnoszą na scenę wiele życia i humoru, stanowiąc jedyny równoważnik szlachetnego patosu, dominującego w tej operze. Właściwie wszystkie role otrzymały bardzo dobrą obsadę solistów. Epizodyczną rolę Włodzimierza śpiewał z właściwą sobie kulturą i ekspresją **Roman Werliński**, nawet drobna rólka Dziewczyny Połowieckiej potraktowaną została bardzo odpowiedzialnie i powierzona śpiewaczce tej klasy, co **Marla Szczucka-Kudanowska**. Dobrze też ze swych zadań wywiązała się **Jadwiga Stocka** (Niania) i artysta chóru, **Witold Marcinkiewicz** (Owlur).

„Kniaź Igor" obfituje w liczne sceny zespołowe. W dynamicznej inscenizacji Antoniego Majaka chór otrzymał zróżnicowane zadania aktorskie, które nie przeszkodziły w dobrym i precyzyjnym śpiewie. Obok popisowego prologu i świetnych tańców połowieckich na słowa uznania zasłużył chór męski w pijackiej scenie na dworze księcia Galickiego i chód żeński w doskonale rozegranej scenie w komnacie Jarosławny. Cała ta odsłona łącznie ze świetnym duetem Jarosławny i Galickiego (E.Niziol i A Majak) należy do najlepszych w spektaklu. Wyróżniłbym także niezwykle piękną oprawę scenograficzną tej sceny, chociaż i w pozostałych dekoracje urzekały wytworną stylizacją staroruskiej dworskości (prolog), czy egzotyki Wschodu (akt połowiecki). Nieco mdłe, pozbawione dzikości i siły wydały mi się produkcje baletu, zbyt mało zróżnicowane w charakterze, sugerowanym tak przecież wyraziście przez muzykę Borodina.

Wszystkie subtelności partytury Borodina zostały zrealizowane przez bardzo dobrze grającą orkiestrę (wyróżnienie dla pełnej blasku blachy), prowadzoną ze znawstwem, pasją i temperamentem przez **Zygmunta Latoszewskiego.**

Podobnie jak w pierwszej inscenizacji, pominięto całkowicie piękny akt trzeci — stanowiący logiczne przejście do finału, a właśnie przy wznowieniu można się było pokusić o pokazanie czegoś nowego, choćby kosztem pewnych dłużyzn w pozostałych obrazach. Na nową, trzecią inscenizację „Kniazia Igora" wypadnie nam jednak chyba kilka lat poczekać, tymczasem więc polecam „Kniazia Igora Drugiego". Naprawdę dobre przedstawienie.

ZYGMUNT GZELLA

POCZĄTKI DRUKARSTWA W ŁODZI

W roku bieżącym obchodzimy 500-lecie drukarstwa w Polsce. Z tej okazji warto zapoznać czytelników z początkami sztuki drukarskiej w Łodzi, zwłaszcza że przedstawiają się one dosyć interesująco.

Pierwszym drukarzem i litografem w naszym mieście był Feliks Gotz. Urodził się on w Warszawie w 1833 roku. Kunsztu drukarskiego uczył się Gotz w rodzinnym mieście, w znanym zakładzie litograficznym Maksymiliana Fajansa. W wyborze zawodu poszedł śladem ojca i brata, którzy również trudnili się drukarstwem.

Po przybyciu do Łodzi w 1859 roku, Gotz otworzył zakład litograficzny przy Nowym Rynku nr 2 (plac Wolności), później zaś przeniósł go do małego domku przy ul. Dzielnej nr 2 (Narutowicza). W prowadzeniu zakładu pomagała właścicielowi jego żona, Franciszka ze Śmiechowskich. W drukarni zatrudnieni byli również dwaj uczniowie. Z Gotzen współpracował uzdolniony rysownik, Karol Tranz, nauczyciel w miejscowej szkole powiatowej. Drukarnia pracowała głównie dla potrzeb rozwijającego się przemysłu łódzkiego. Tłoczono w niej księgi handlowe, etykiety, prospekty, ulotki reklamowe. W litografii Gotza, między innymi, przemysłowiec łódzki Ludwik Geyer odbijał swoje pierwsze bony pieniężne, zastępujące drobną monetę obiegową. Przed powstaniem 1863 roku Gotz drukował także tajne ulotki, odezwy, pieśni patriotyczne.

Feliks Gotz uczestniczył w przygotowaniach do wybuchu powstania styczniowego. Gdy powstała w Łodzi organizacja spiskowa, pełnił w niej obowiązki dziesiętnika. Kiedy w styczniu 1863 roku sformował się w naszym mieście pierwszy oddział powstańczy, Gotz zaciągnął się do niego i przez szereg tygodni walczył jako ułan w partii Józefa Oksińskiego. Wiosną tegoż roku na polecenie władz powstańczych zorganizował wspólnie z drukarzem Kiekim we wsi Wiązowa Wola tajną drukarnię dla potrzeb organizacji powstańczej. Drukowano w niej odezwy, regulaminy, instrukcje.

Po powrocie do Łodzi Gotz prowadził nadal swój zakład. Nie zaprzestał jednak działalności na rzecz powstania, gdyż zajmował się przygotowaniem kwater dla partyzantów w mieście i organizacją policji narodowej. Zagrożony aresztowaniem, musiał wkrótce opuścić Łódź i ukrywać się w jej okolicy. W lutym 1864 roku został ujęty przez carskich żandarmów i osadzony w więzieniu. Sąd wojenny skazał Gotza na 12 lat ciężkich robót na Syberii, skąd już nie było sądzone mu powrócić do Łodzi. Mimo zabiegów żony skazanego o utrzymanie drukarni nakazem władz carskich została ona zamknięta. Jaki był jej dalszy los, tego nie wiemy.

W rok po osiedleniu się Feliksa Gotza w Łodzi przybyli do miasta dwaj następni drukarze warszawscy: Józef Czaczkowski i Jan Petersilge. Wydzierżawili oni połowę drewnianego domku przy ul. Konstantynowskiej nr 12 (Obrońców Stalingradu) „z prawem korzystania z sieni, schodów na strych, podwórza i ogrodu" i założyli tutaj drukarnię i litografię. Jednakże Czaczkowski, który zabiegał o koncesje na wydawanie pisma polskiego w Łodzi, po otrzymaniu odmowy jako politycznie podejrzany, wystąpił ze spółki i powrócił do Warszawy.

Jan Petersilge, podobnie jak Gotz, trudnił się wykonywaniem wszelkich druków dla przemysłu miejscowego. Zamówienia przemysłowców nie zapewniały jednak drukarni Petersilgego trwałych podstaw egzystencji, stąd też dążył on do uzyskania zezwolenia na wydawanie w Łodzi polsko-niemieckiego pisma ogłoszeniowego. Przy poparciu fabrykantów łódzkich otrzymał on na to zgodę naczelnika wojennego Łodzi barona Aleksandra Broemsena i począł wydawać pierwsze pismo periodyczne w naszym mieście „Łódzkie Ogłoszenia — Lodzer Anzeiger". Odtąd zakład drukarski Petersilgego rozwijał się pomyślnie, zatrudniając około 30 osób. W 1883 roku drukarnia przeniesiona została do własnej nieruchomości Petersilgego przy ul. Konstantynowskiej nr 26. W dwa lata później pożar strawił urządzenia drukarni. Szkody wszakże nie musiały być zbyt duże, gdyż szybko je naprawiono i po miesiącu zakład był czynny ponownie.

Wróćmy do osoby Petersilgego. Był on synem drezdeńskiego złotnika, osiadłego w Warszawie. Ożenił się z Polką-unitką, Anastazją z Mackiewiczów. Wiedząc o przymusie przejścia na prawosławie postarała się ona o zaświadczenie stwierdzające, że jest rzymsko-katoliczką i na tej podstawie otrzymała katolicki ślub. W jakiś sposób dowiedział się o tym fakcie policmajster łódzki. Pod naciskiem władz Petersilgowa wraz z dziećmi zmuszona była przejść na prawosławie. Mężowi jej pozwolono pozostać ewangelikiem. Dla rodziny Petersilgów zmiana wyznania nie była tragedią, gdyż prawosławie dawało jej znaczne przywileje.

W 1896 roku Jan Petersilge nabył budynki pofabryczne przy ul. Piotrkowskiej nr 86, składające się z dwóch dużych oficyn, w których ulokował znacznie już powiększone zakłady graficzne. Okazały budynek frontowy, z odlaną w brązie rzeźbą wynalazcy druku, Jana Gutenberga, umieszczoną na frontonie gmachu i interesującymi witrażami na klatce schodowej, nawiązującymi do dziejów drukarstwa, wystawiony został w 1901 roku. Budowa kosztowała pół miliona rubli, suma na owe czasy bardzo znaczną. Jan Petersilge zmarł w 1905 r. Po jego śmierci spadkobiercy sprzedali kamienicę.

Pierwsze drukarnie łódzkie posiadały urządzenia bardzo prymitywne. Garść czcionek i pedał poruszany nogą. — oto z grubsza całe wyposażenie ówczesnej drukarni. Pierwszą maszynę cylindryczną, zwaną podówczas „pośpieszną", sprowadził Petersilge do Łodzi w 1879 roku za pośrednictwem agenta drukarskiego Leona Krukowskiego, a pierwszą maszynę rotacyjną do druku gazet — w 1899 roku.

Jeżeli na początku swojej działalności drukarnie w Łodzi obsługiwały prawie wyłącznie potrzeby miejscowego przemysłu i handlu, to w późniejszym czasie, w miarę upowszechniania oświaty i kultury wśród mieszkańców Łodzi i wynikającego stąd wzrostu zapotrzebowania na słowo drukowane, rozszerzyły one stopniowo zakres swej pracy na inne czynności, jak druk gazet i czasopism, kalendarzy, wreszcie książek, popularnych broszur itp. Szybko też rosła w mieście liczba zakładów drukarskich. W 1880 r. Łódź posiadała już dziewięć drukarni, a mianowicie: J. Petersilgego, F. Dietricha, R. Luthera, L. Zonera, A. Lubieńskiego, L. Szustera, L. Gutsztadta, L. Sachsa i L. Krukowskiego.

WACŁAW PAWLAK

MARCIN RODAK

KOCHAJMY ZWIERZĘTA

Jerzy Kamas za pozwoleniem Telewizji Polskiej w trzyczęściowym serialu „Desperaci", u samego jego końca był uprzejmy ogłosić „TYDZIEŃ DOBROCI DLA SEKRETAREK". Jego sprawa, boć to miał na względzie jedną tylko sekretarkę, którą z powodzeniem udawała Małgorzata Niemirska. Ale tak bez żartów taki tydzień dobroci przydałby się wielu sekretarkom. Nikt jakoś na to nie wpadł, z wyjątkiem, o którym powyżej.

Natomiast Zarząd Główny Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami — odwołując się do tradycji — ogłasza ponownie i po raz któryś tam MIESIĄC DOBROCI DLA ZWIERZĄT, a czyni to za pozwoleniem ministra spraw wewnętrznych. Jednakże między pomysłem Jerzego Kamasa i jego „Tygodniem dobroci dla sekretarek" pomysłem ZG Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami i jego MIESIĄCEM DOBROCI DLA ZWIERZĄT jest jedna, ale za to istotna różnica. Otóż Jerzy Kamas — jako to widzieliśmy w TVP — zaprosił Małgorzatę Niemirska na kolację, patrząc przy tym czule w jej oczy. Zarząd Główny Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami nigdzie nas nie zaprasza, a za to chciwie zagląda nam do... kieszeni, pisząc w rozesłanym po kraju piśmie, iż „jak co roku wznawia akcję „Miesiąca Dobroci dla Zwierząt" na podstawie Decyzji Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 4.II. 1973 r. Nr Dz. 658/S/X/73 w formie dobrowolnych wpłat na konto PKO I O/M Warszawa nr 1-9-121941 w miesiącach październiku i listopadzie 1974 r".

Zarząd Główny Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, zaglądając mi łakomie do kieszeni, zasłania się Albertem Schweitzerem, cytując jego myśl, że „etyka nie byłaby pełna, gdyby dotyczyła tylko ludzi". Abym jednak, sięgając do kieszeni po „nawet najskromniejszy datek" nie czuł się jak ten, który daje jałmużnę, Zarząd Główny Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami opatruje apel do mnie i do innych kilkoma „wzniosłymi" myślami:

1. „Zwierzęta stanowią nierozerwalne ogniwo środowiska naturalnego człowieka. Chcąc zachować równowagę biologiczną, która jest warunkiem naszej egzystencji — CHROŃMY ZWIERZĘTA!"

2. „Zwierzęta żyjące w najbliższym otoczeniu człowieka wzbogacają Jego doznania psychiczne, są pozytywnym elementem wychowawczym".

Kłaniam się na mego znajomego Pana Kota, z którym — jak mi się przynajmniej wydaje — zdążyłem się zaprzyjaźnić, że nic nie mam przeciw zwierzętom, przeciwnie bardzo je lubię i chronię w miarę swoich możliwości, ale przede wszystkim dlatego, że są słabsze od człowieka i muszą — niestety — z nim współżyć. Staram się też jak mogę być dobrym dla zwierząt przez cały rok, a znam ludzi, którzy ratowali zwierzęta z niejednej opresji. Moja znajoma wyratowała małym barbarzyńcom kota, którego ci domorośli oprawcy chcieli powieścić. Kot do dziś czuje się dobrze, spasł się znacznie, ale lęk przed dziećmi pozostał mu na całe kocie życie. Mój znajomy przygarnął pięknego, a bezdomnego psa i dopiero po roku okazało się, że jego — psa oczywiście — „Pan" po pijanemu pakował zwierzę do wanny i oblewał je gorącą wodą. Przykładów zdziczenia ludzi można byłoby podać więcej.

Nie jestem więc przeciw dobroci dla zwierząt, jak też nie jestem przeciw ogłaszaniu MIESIĄCA DOBROCI DLA ZWIERZĄT, choć uważam, że człowiek powinien być dobry dla zwierząt przez cały rok. Zawsze. Nie jestem również przeciw dobrowolnym datkom na cele Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Przeciwnie, chętnie sięgnę do kieszeni i dam na cele TOZ tyle, na ile będzie mnie stać. Zachęcam do tego również innych, ale niemniej nie uważam, aby MIESIĄCE DOBROCI DLA ZWIERZĄT należało sprowadzać tylko do „formy dobrowolnych wpłat na konto PKO". I jestem przeciw sloganom, które miałyby moje sięganie do kieszeni uzasadniać. W ogóle obruszam się zawsze, kiedy ktoś usiłuje mnie traktować jak półgłówka. I mam niepłonną nadzieję, że nie ja tylko. A z drugiej strony byłbym bardzo rad, gdyby Zarząd Główny Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami zamiast cytatów z dzieł Alberta Schweitzera podał mi cele, dla realizacji których potrzebne mu są pieniądze, których — jak się domyślam... — dotkliwie mu brakuje. Mniemam, że chce on rozbudować i lepiej wyposażyć sieć schronisk dla zwierząt. Ale to tylko moje mniemanie.

Nie będę się spierał z Zarządem Głównym Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, czy istotnie „zwierzęta żyjące w najbliższym otoczeniu człowieka wzbogacają Jego doznania psychiczne" i czy są „pozytywnym elementem wychowawczym". Być może, że tak. Byłbym jednak bardziej szczęśliwy, gdyby ludzie żyjący obok ludzi czynili tak samo. I myślę, że jeśli potrafimy być okrutni dla zwierząt to przede wszystkim dlatego, że jesteśmy okrutni sami dla siebie, ale tu już nic nie pomoże. Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, a Towarzystwa Opieki nad Człowiekiem jeszcze nie wymyślono. Szkoda.

W mojej pracy dziennikarskiej wielokrotnie przychodziło mi stykać się z ludźmi, którzy przychodzili do redakcji w poszukiwaniu obrony przeciw innym ludziom. Wiadomo, nie wszędzie panują idealne stosunki, gdyby tak było, wszelkie biura skarg i interwencji byłyby zbędne. Wiadomo, ludzie są różni i — niestety — ukute przez ludzi życzenie, żeby dobry Bóg strzegł nas przed przyjaciółmi, bo z wrogami to poradzimy sobie sami — nadal pozostaje aktualne. Zdarzało więc mi się spotkać ludzi, którzy nie mogli znaleźć sobie miejsca wśród współpracowników, którzy narazili się temu i owemu, a także zdarzało mi się spotykać ludzi po prostu zaszczutych przez innych. Byli wśród nich i tacy, którzy rozstawszy się ze współmałżonkiem musieli bronić się przed anonimowymi oskarżeniami i innymi pomówieniami. I to jest bardzo smutne, bo wszystko wskazywało, że czyni to druga osoba, z którą przecież przeżyło się ileś tam lat dobrych i złych. I to jest bardzo smutne, bo w takich wypadkach trudno komuś pomóc i cośkolwiek poradzić.

Anonimy oczywiście wymyślono przed wiekami, ale nie były to anonimowe donosy i nie były one smutną miarą stosunków panujących pomiędzy ludźmi. Dziś jest trochę inaczej. Dziś, choć wszyscy oburzają się na anonimową działalność pisarską, to przecież anonimów nikt nie wrzuca do kosza. Wprawdzie przyjaciel mój, powróciwszy z Wybrzeża Gdańskiego, pokazał mi tamtejsze gazety, gdzie na przykład w stopce redakcyjnej „Głosu Wybrzeża" i w jednej z rubryk „Dziennika Bałtyckiego" zawiadamia się PT Czytelników, że redakcje nie podpisane listy wrzucają do kosza. Ładna to deklaracja, gdyż tenże mój przyjaciel przywiózł sobie felieton Bogusława Holuba z „Głosu Wybrzeża", w którym to felietonie autor odpowiada na dwa listy nie podpisane imieniem i nazwiskiem. Interesujący to felieton, gdyż pokazuje fragment stosunków panujących w jednym z tamtejszych przedsiębiorstw. Metoda jest u nas nie stosowana i myślę, że nikt jej u nas nie wprowadzi w życie.

Bogusław Holub napisał swego czasu krytyczny artykuł o dyrekcji i radzie zakładowej przedsiębiorstwa zajmującego się połowami morskimi. Dyrekcja, uznając, że jest to artykuł „nierzetelny i nieuczciwy", skonfiskowała nakład pisma, w którym był opublikowany, a który to nakład miał być dostarczony rybakom pływającym w tym czasie po morzu. Oczywiście decyzja taka jest łamaniem prawa, ale to nie pismo, ani dziennikarz, przez którego wstrzymano kolportaż, zagroziły skierowaniem sprawy do prokuratury. Groźbą taką posłużyło się przedsiębiorstwo. Oczywiście nic takiego nie stało się, ale metoda — przyznacie — interesująca. Na szczęście możliwa tylko w przedsiębiorstwie, które samo zobowiązało się do dostarczenia prasy swoim pracownikom. Gdyby jednak komuś coś takiego przyszło do głowy, to wyjaśniam, że pracownicy przedsiębiorstwa, którego dyrekcję i radę zakładową krytykował Bogusław Holub i tak wszystkiego dowiedzieli się, gdyż ich statki spotkały w morzu statki innych przedsiębiorstw, gdzie nie było zakazu kolportowania pisma z krytycznym artykułem. I tak cała sprytna — przynajmniej w zamyśle jej inicjatorów — akcja spaliła na panewce.

Deklarujemy różne piękne rzeczy, głosimy wzniosłe i szczytne hasła, ale w praktyce jakże często o nich zapominamy. Ba! Postępujemy zupełnie przeciwnie. Jakoś nie bardzo chcemy, aby człowiek był człowiekowi przyjacielem. Nic więc dziwnego, że człowiek nie jest też przyjacielem dla zwierząt. I tu nie na wiele przydadzą się hasła i wezwania. Myślę, że najpierw byłoby dobrze poprawić stosunki pomiedzy ludźmi, podnieść na wyższy poziom kulturę współżycia człowieka z człowiekiem, a wtedy znacznie łatwiej będzie wymagać od ludzi, aby kochali zwierzęta. Nie jestem jednak zbyt łatwowierny i nie będę odgrzebywał staropolskiego „kochajmy się"! Zresztą i tak u nas zbyt wiele Wersalu w różnych publikacjach. Zamiast wymiany poglądów mamy wymianę grzeczności. Gdyby ktoś zadał sobie trud zbadania naszych stosunków wzajemnych na podstawie naszych publikacji, to doszedłby rychło do najbardziej błędnego poglądu, że jesteśmy społeczeństwem, w którym odżyło staropolskie „kochajmy się". A przecież wiadomo że jest zupełnie inaczej. Niestety, zanika u nas tradycja rzeczowych polemik. Walkę na argumenty zastępuje walka na insynuacje i aluzje, walkę poglądów — walka grupek i klik.

Wszystko to jednak nie przeszkadza, abyśmy kochali zwierzęta.

Fot. Archiwum

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina..." K.I.G

BAJKI BEZ NIANI

Znany reżyser filmowy pochodzenia skandynawskiego Nil Pedersen, będąc u szczytu sławy i powodzenia przypomniał sobie raz o swojej niani staruszce. Pragnąc odwdzięczyć się za wieloletnią czułość, miłość i troskę, kupił jej bilet do kina na popołudniowy program z wesołymi bajkami. Niestety, okazało się, że niania staruszka zmarła nagle dobre kilkanaście lat temu. Nie chcąc, by kupiony bilet zmarnował się niepotrzebnie, znany reżyser sam udał się do kina, ale trochę smutno mu było na tych wesołych bajkach.

JESZCZE JEDNO POTWIERDZENIE

Filmowi naukowcy brytyjscy, wykonali zdjęcie śpiącego psa z tak bliskiej odległości, iż widać bardzo wyraźnie, że pies ten składa się z dużej ilości specjalnych komórek. Zwraca uwagę fakt, że gdy pies spał, jego komórki nie spały z nim razem. Niestety, nie zaobserwowano tym razem co czynią komórki po przebudzeniu się psa, gdyż był to bardzo zły pies.

SPOSÓB NA ZŁEGO MILIARDERA

W Kalifornii pewien stary i okrutny miliarder filmował różne drogie smakołyki i delikatesy. Potem pokazywał ten film biedoym bezrobotnym w swoim prywatnym kinie, znęcając się w ten sposób fizycznie i moralnie. Taka sytuacja była już wprost nie do zniesienia, aż wreszcie biedni bezrobotni wpadli na sposób. W czasie seansu zaczęli udawać bardzo najedzonych i okrutny miliarder zrozumiał, że przegrał.

DZIELNA PANI WYCHOWAWCZYNI Z IIb!

W Zdunach Całkowitych, w Szkole Podstawowej Nr 16 im. Odważnych Konduktorów, w klasie IIb uczeń Janek Płaskownik przechwalał się głośno, że nasz Janosik położyłby Ondraszka na rękę. Na szczęście pani wychowawczyni wykazała czujność pedagogiczną i publicznie zganiła małego wisusa za szowinizm.

DO PIĘCIU RAZY SZTUKA

Polscy ekonomiści filmowi obliczyli niedawno, że gdyby każdy widz obejrzał polski film historyczny nie jeden raz ale przynajmniej z pięć razy (oczywiście z przerwami), to dochody ze sprzedaży biletów wzrosłyby tak znacznie, że można byłoby za te pieniądze nakręcić szereg nowych polskich filmów historycznych.

NOWA IDEA

W Szwecji szerzy się ostatnio nowa i wspaniała idea „kin braterskich". W kinach tych wszyscy widzowie w czasie seansu filmowego mocno i serdecznie trzymają się za ręce a Kierownik Kina chodzi i patrzy, czy nikt się nie wyłamuje. Podobno nawet długie i nudne filmy ogląda się w ten sposób szybko i sprawnie.

WYGRALI

Za trafne rozwiązanie Krzyżówki zamieszczonej w nr 33 naszego tygodnika (hasło: „KSIĘGARNIA WSPÓŁCZESNA ZAPRASZA") nagrody w postaci 300 zł talonów do „Domu Książki" otrzymują w wyniku losowania:

GRAŻYNA MALIK Łódź, ul. Obr. Stalingradu 25,
WŁODZIMIERZ ALBIN Łódź, ul. Podbiałowa 2,
HENRYK WILSKI Łódź ul. Łagiewnicka 79.

Nagrodzonym gratulujemy.

Po odbiór talonów książkowych prosimy zgłaszać się do „Domu Książki" Łódź, ul. Piotrkowska 5 — dział reklamy. (jk)

ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO TEKSTYLNO-ODZIEŻOWE
zaprasza
do DOMU HANDLOWEGO
TEOFIL łpto
Łódź ul. Aleksandrowska 38

NA SEZON ZIMOWY POLECAMY:

- Płaszcze damskie i męskie
- Futra, kurtki, garnitury
- Dziewiarstwo
- Galanterię
- Tkaniny
- Obuwie
- Kosmetyki

B366-k

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 36, kody poczt. 90-950 i 90-103 telefony 244-79 217 98 oraz 293 00 wew 29 39 40 i 41 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł kwart 36 zł Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 2352. C-11. Nr indeksu 37006.